

Cena zł 5.-

DRUGA WOJNA ŚWIATOWA

BOHATEROWIE OPERACJE KULISY

- Dramatyczne wydarzenia największych zmagañ wojennych w historii
- Przełomowe, nieznane momenty walk
- Czuśnie strzeżone tajemnice pól bitewnych, dyplomatycznych gabinetów, głównych sztabów i central wywiadu

ukazuje

CYKL WYDAWNICZY

w którego skład wchodzi niniejszy
tomik



ZAPAMIĘTAJ
TEN ZNAK

19/70

ALARM W KOMPANII ORBIS



ZYGMUNT ZONIK

ALARM
W KOMPANII
„ORBIS”



WYDAWNICTWO
MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ

Okladke projektował
MIECZYSLAW WISNIEWSKI

Redaktor: IRENEUSZ LAPINSKI

Redaktor techniczny: JOLANTA MICHAŁOWSKA

Korektor: LEONARDA KROLIKOWSKA

PULK RADIO NIE KAPITULUJE

Ulice miasta i wnetrza domów powoli wypełniał zmierzch. Z restauracji „Soldatenheim” na parterze piętrowej kamieniczki buchnął zmieszany gwar. Jakiś podpity żołnierz ryczał gardłowym głosem:

*Luisa, Luisa, schau mich doch mal an;
Ich bin ja ein Fischer, ich bin ja ein Mann...*

Lokatorowi spod „tróiki”, sierżantowi z wojsk łączności Antoniemu Wełnie, uczucie mściwości przysłoniło na chwilę oczy mgłą: ech, żeby tak jakiś granat...

Niestoty. Tak już zostanie chyba do końca, dopóki szhopów nie wymiotą Ruski albo Churchill — westchnął ciężko sierżant. Czas włókł mu się niemiłosiernie. Już dwa tygodnie upłynęło, odkąd w maju 1942 r., po ciężkiej chorobie, Niemcy zwolnili go ze stalagu w Altengrabow, a jak dotychczas, nie udało mu się nawiązać żadnego kontaktu. Miał na myśli kontakty ze starymi kole-

gami z jedyne go w Polsce warszawskiego pułku radio, zwłaszcza z macierzystego batalionu, stacjonującego w Benjaminowie pod Zegrzem.

Bołało go, zawodowego podoficera-radiotelegrafistę to przymusowe próżniactwo podczas najstraszniejszej z wojen. Niepokojny duch nie znosił bezczynności, a tymczasem dzień po dniu spędzał Welna w niewielkiej posesji w Radzyminie. Wyrwał się myślą do swoich RKD — radiostacji korespondencyjnych dywizji, średniofalowych, zamienionych przed samą wojną na N₁ i N₂ z zakresem fal krótkich.

Jeszcze przed wybuchem wojny odkomenderowano go niespodziewanie na dowódcę drużyny radio do organizowanej na gwałt i poniewczasie w Sarnach przez naczelne dowództwo Wojska Polskiego jednostki nietypowej — batalionu fortelnego w sile przekraczającej liczebność normalnego pułku piechoty. Przed oczami sierżanta uformował się teraz obraz batalionu marszowego w gotowości bojowej. Drużyna jedzie ze sztabem, przy radiostacji dywizji siedzi kapral-specjalista i bez przerwy nasłuchuje. Na tej samej konnej dwukółce zajmuje miejsce on, dowódca drużyny, z helmofohem na kolanach. Nad pojazdem sterczy trzymetrowa bambusowa antena.

Na dany znak wehikał zatrzymuje się. Welna rozkłada nadajnik i rozpoczyna korespondencję z najbliższą większą jednostką wojskową, zgodnie z tekstem przekazanym mu przez podpułkownika Sulika.

Jest tak zatopiony we wrześnieńskich wspomnieniach sprzed trzech blisko lat, że nie słyszy

pukania do drzwi. Łapie się na tym, że powtarza w myślach, alfabetem Morse'a, tamten radiogram.

Pukanie staje się natarczywe, sprowadza go na ziemię. — To ty, Sławka?! — rzucił pośpiesznie. Zerwał się z kanapy, nacisnął kłamkę i... cofnął się gwałtownie. Zamiast spodziewanej narzeczonej miał przed sobą krepiego mężczyznę w sile wieku, w oficerkach i ubraniu przerobionym z wojskowego munduru.

Przez dłuższą chwilę milcząco taksowali się wzrokiem. Welna z otwartymi ze zdumienia ustami, Golański z wyrzutem w oczach.

— Ty... nie... tak... Alfons! Więc ty żyjesz?! — gospodarz ścisnął oburącz dłoń instruktora radio. Był niesłychanie podekscytowany. — W lagrze mówili, że zginąłeś we wrześniu, przyjacielu kochany, poruczniku. To znów słyszałem, już po powrocie, że cię rozwalili z transportem z Pawiaka w lasach sekocińskich pod Magdalenką. — Nie wiedział z radości, gdzie posadzić gościa, co to zjawił się jak przybysz z innej planety.

— Na wojnie jak na wojnie, nawet czyjeś zmartwychwstanie nie zdziwi — zaciągnął z wileńska przybysz. — No i ciebie odnalazłem, a wcale nie było łatwo. Zakopałeś się w tej dziurze... — spojrzał podejrzliwie. Welna zaczerwienił się, przysłało mu do głowy, że może być posądzony o celowe wycofanie się na boczny tor.

— Ja też już coś niecoś widziałem, przeżyłem — przeciągał sylaby, zbierał myśli, chcąc rozszyfrować, z czym przyszedł starszy stopniem kolega. — We wrześniu, kiedy rozpuścili nasz bata-

lion, no to, bracie, wyć się chciało, gryzłbyś rozpalone żelazo...

Opowiadał niezbyt składnie. Oficer słuchał, kreślił się na krześle, przerywał. Za Parczewem i Kockiem sierżant natknął się na grupę operacyjną generała Kleeberga i z miejsca posadzono go do N, na taczankę. Byli w okrażeniu, nie wolno mu było nadawać, odbierał więc tylko inne stacje. Łapał, co się dało: Warszawę, Paryż, Londyn, Moskwę. Wysłał spóźnionego komunikatu o kapitulacji Westerplatte. W tamtejszej załodze miał przyjaciela, starszego sierżanta Rasińskiego, także radiotelegrafistę. Wtedy nie było jeszcze wiadome, że hitlerowcy powiesili go za odmowę wydania szyfrów. Na swojej taczance odebrał Welna wiadomość o kapitulacji Warszawy. Kleeberg bił się dalej, pod Adamowem zdrowo przetrzepał zmotoryzowaną dywizję wroga. Cóż, kiedy przeciw broni pancernej Niemców nie mieli działek pepano. Luftwaffe porozbijala im tabory. Pierwotne założenie generała, żeby iść na odsiecz stolicy, straciło swą aktualność. Trzeba było kapitulować, składać broń. Ale wiara w ostateczne zwycięstwo pozostała...

— Wiara to mało — o'lał go zimną wodą przyjaciół. — Nie myśl, że dla ciebie z wojną szlus, o nie, tak dobrze nie ma. Służ'a trwa. Pułk radio nie demontuje aparatury...

— Co ty pleciesz? — obruszył się sierżant. — Czego nie zdążyło się rozbić, zabrali szwabcy.

Golański uśmiechnął się tajemniczo, z wyższością.

— Co nieco zrobi się samemu, przyjaciele też

pomogą... Na razie nie mogę ci więcej powiedzieć, ale wkrótce sam zobaczysz... Wylaż, Antoni, ze swojej nory, wal do Warszawy...

— Nie bądź taka pytia, do Jasnej przez Marszałkowską. — Welna domyślił się wszystkiego, ale chciał Alfonsa pociągnąć za język.

— Trafiłeś w dziesiątkę. Zgadza się, Marszałkowska osiemdziesiąt pięć. Na drugim piętrze znajdziesz pracownię artysty malarza, no, lipną, kapujesz, to upozorowany lokal konspiracyjny. Załatwisz, co trzeba, wtedy pogadamy. Zapytaj o...

Urwał raptownie. Na schodach rozległy się niepewne, ciężkie kroki. Zaskrzypiała klamka. Oficer jak tygrys skoczył do ściany, tuż przy drzwiach, i wyciągnął efenkę. Lekki trzask odbezpieczonej broni dźgnął Welnę prosto w serce.

W otwartych drzwiach stanął niemiecki żołnierz — bez czapki, na chwiejących się nogach. Ruda czupryna opadała na czoło.

— Cholery jasne... Ma... Maruschka... nichts?... — wybelkotał, gulgocąc jak indyk. Załatwowało od niego wódką. — Panenka... — Rozejrzał się półprzytomnie, na bezmyślnej twarzy odbiło się rozczarowanie. Jak niepyszny wycofał się, czyniąc straszliwy rumor na schodach.

— A już myślałem, że skubańcy są na moim tropie — odetchnął z ulgą porucznik i schował broń.

— Kolego, jest taka organizacja wojskowa, która walczy z okupantem. Nazywa się Armia

Krajowa — Wyprostowany, wysoki, łysawy mężczyzna, major, z miejsca przeszedł do rzeczy: — Powtarzajcie za mną rotę przysięgi.

Kiedy wzruszony Welna wypowiedział ostatnie słowo, oficer oświadczył uroczyście:

— Przyjmuję cię w szeregi żołnierzy armii Polskiej walczącej z wrogiem w konspiracji o wyzwolenie ojczyzny. Twym obowiązkiem będzie walczyć z bronią w ręku. Zwycięstwo będzie twoją nagrodą, zdrada karana jest śmiercią.

Na chwilę zawiśła między nimi podniosła cisza. Welna poczuł lzy pod powiekami.

— Będziecie w sieci łączności „C”, dowodzenia na szczeblu głównego dowództwa. Dostajecie przydział do pierwszego plutonu alarmowego kompanii „Orbis” w batalionie „Iskry”. Życzę wam powodzenia w walce i szybkiego awansu. Pamiętajcie, że dla radiostacji naczelnego dowództwa alarm trwa nieprzerwanie. To niebezpieczna, ale także zaszczytna...

Oficer nie dokończył. Jak burza wpadła na punkt kontaktowy młoda, szczupła dziewczyna o twarzy znamionującej spryt i inteligencję, od progu wołając zduszonym głosem:

— Uciekajcie, panowie! Gestapo na dole! Prędkiej! Tędy na podwórze, a potem przez dom przejściowy w Poznańską.

Zaskoczenie było całkowite. Major zmełł w ustach przekleństwo.

— Znowu trzeba zmieniać melinę. A może to nie do nas? Ech, wiejmy, sierżancie. Przyjdzie czas, że my będziemy ich gonić, a oni będą przed nami uciekać.

SMAKI GRANIA NA MELINIE

Okazało się, że dowódcą plutonu, do którego przydzielono Welną, był podporucznik Golański, w armii podziemnej „Pajak”.

— Obejmujesz nowy punkt w Żyrardowie — zdecydował przełożony. — Jutro spotkasz się z Sepem, to cię wprowadzi w akcję. On gra na bazie w Brwinowie. Wasze rejonny będą sąsiadowały ze sobą, możecie chodzić razem na plotki — zazartował. — No, a tak serio, to obowiązuje was pomoc wzajemna na wsiaki słuczaj. Umówiłem was na jutro, trzecia zero pięć po południu, na Dworcu Głównym. Będzie czekał na ciebie przed stalugami z rozkładem jazdy.

— Ale jak go rozpoznam?

— Mniej więcej w twoim wieku, może trochę młodszy i wyższy, jasny szatyn, włosy na jeża. Z kieszeni będzie mu wystawał „Nowy Kurier Warszawski”. Twoją fizys tudzież dziarską postać już mu opisałem — zrobił szelmowskie oko.

Kiedy nazajutrz sierżant, na kwadrans przed wyznaczonym terminem, podążył na miejsce schadzki, już przy skrzyżowaniu Alei Jerozolimskich z Marszałkowską spostrzegł niesamowite zamieszanie przed stacją.

— Na dworcu łapanka! — krzyknął przechodzień z wywróconym daszkiem cyklistówki i tłum w gnieniu oka pierzchnął w różne strony jak zdmuchnięty przez tornado.

Rezerwowe spotkanie było umówione z Golańskim dopiero na następny dzień, na punkcie kontaktowym przy ulicy Wielkiej pod numerem 7. Kiedy Welna zjawił się, „Pająk” oczekiwał go już z niewesołą miną. Niemniej z ulgą powitał zjawienie się sierżanta.

— Całe szczęście, żeś poszedł tam wcześniej. Jakby cię tak przyskrzynili... Rany boskie! Złapał Kazika. Wiesz, Janiak, na pewno go znałeś. Nie? Koncertowy radiotelegrafista! Taka strata! Sęp jakimś cudem wywinął się z kotła, to cholerny spryciarz. Zaprowadzę cię do niego.

Nie omieszkał poszli na Filtrową, do parku. Na ich widok z ławki podniósł się przystojny mężczyzna z wypchaną teczką. Ciekawe, co on w niej nosi... — pomyślał sierżant.

— To właśnie „Żbik” — przedstawił oficer towarzysza. — Zaopiekujesz się nim, plutonowy.

Ruchy sierżanta były szybkie, precyzyjne, wyćwiczone latami służby. Rozwinął antenę, wyrzucił ją na zewnątrz, zawieszając na drzewie, włączył do kontaktu, zamieszczonego pod sufitem ogrodowej cieplarni, i oczekiwał, że lada chwila zjawi się łącznik z Warszawy.

Aparat — czarną płaską skrzynkę — ustawił już uprzednio na stole i otworzył. Pożądliwym wzrokiem taksował angielską „Nelkę”, krótkofalówkę o mocy 12 watt. Już wiedział, że jest lepsza nawet od 50 watt „Minki”, ma lepszą słyszalność

i trudniej ją wykryć. Nigdy na takiej nie pracował, ale od czego instrukcja? Zresztą i bez niej w lot ocenił i rozeznał cały system urządzenia. W gruncie rzeczy w obsłudze niewiele się różniła od znanych mu typów. W ręce podziemnego wojska dostała się po udanym zrzuć z samolotu RAF. Choć wiedział, że wystarczała do korespondencji z ośrodkiem radiowym Stanmore, nie obojęło się bez tremy.

Łączniczka Komendy Głównej bez większego trudu, mimo gęstej mgły, odszukała go za miastem, na posesji ogrodnika Wojcichowskiego — „Czarnego”. Przekazała korespondencję dowódcy ochrony, a ten wręczył ją operatorowi, zainstalowanemu w cieplarni. Do materiału dołączony był kod — nowy, literowy. Szyfrowane depesze sporządzono na cytrynowej japońskiej bibule. Oszacował na oko: 60 grup materiału, co czyni od 180 do 300 liter. Nie tak znowu dużo, ale jak na konspiracyjny benefis... — pomyślał z humorem.

Bez zwłoki przystąpił do sprawdzenia aparatury: nacisnął guzik miniaturowego klucza, aby wytworzyć rezonans i ustalić strojenie na uzgodnioną uprzednio z Londynem przez pluton odbiorczy częstotliwość, na pas 7200 kilocykli.

Zatarł ręce z zadowoleniem: nareszcie coś się dzieje! Ale równocześnie nurtował go niepokój: czy zagra?

— Świeci — szepnął nagle, z ulgą obserwując neonową żarówkę. Drżał z emocji — aparat gotowy był do pracy.

Wystukał sygnały wywoławcze, umówione z góry według uzgodnionej tabeli z Londynem. Podczas pierwszego od lat — i to jakiego, ze Stanmore! — seansu nie mógł ryzykować. Co innego później — już po samym tonie rozpoznawał korespondującą z nim stację, jak człowiek człowieka po głosie. Wtedy wystarczyło nadać kilka razy literę *v*, oznaczającą wejście w eter. Tamten radiotelegrafista dawał *k*, co oznaczało: gotów, można nadawać. I Welna rozpoczął seans. Z czasem współpraca doszła do takiej perfekcji, że dość było nadać jeden krótki znak „kreska”, odbierający wystukiwał *k* — i mknęła jedna grupa liter za drugą.

Tak było potem. Na razie jednak musiał aż trzy razy podawać swój umówiony znak — *a*, *b*, *c*. Chciał mniej rozgrzyźć, utrwalić sobie ton — przemknęło mu przez myśl. Stanmore potwierdziło odbiór i dało swój sygnał: *d*, *e*, *f*.

Gotów — telegrafowała „Marta” i przeszła na odbiór. Welna tak się zapamiętał w pracy, że zapomniiał o ciągle wiszącym nad jego głową niebezpieczeństwie.

Mgła tymczasem opadła, miał dobre warunki emisji, więc dopiero po wydaniu 50 grup wyrazów, wśród których często powtarzał się kryptonim — podpis „Kalina” (nie wiedział jeszcze, że był to pseudonim komendanta Grota-Roweckiego), zapowiedział krótką przerwę na odpoczynek. Ale tamtemu radiotelegrafistcie — nie wiadomo dlaczego — spieszyło się. *Q*, *r*, *o* — wystukał, gdy sierżant rozpoczął kontynuację. Oznaczało to: nadawać szybciej. *Q*, *r*, *p* — jestem gotów — odpu-

kał „Zbik”, którego ambicja została podrażniona. Zaczekał, dam ci szkołę — pomyślał zagryzając wargi. Z miejsca rozwinął takie tempo, że zmusił tamtego do sygnału *q*, *r*, *s* — nadawać powoli. Łącznicy z Oddziału VI sztabu Polskich Sił Zbrojnych nie nadążali z dostarczaniem telegramów „Zbika” szyfrantom II Oddziału w hotelu „Rubens”.

Wydawszy cały materiał, Welna przystąpił do demontażu i składania aparatury. „Nelka” powędrowała na inną melinę, jako że nie wolno było przechowywać „instrumentów” w miejscu „gry”. Ten sam los spotkał granat i dziewięciostrzałowego colta ze świecącą lufą: czerwony nafosforyzowany pas wskazywał nocą kierunek strzału. Nazywali tę spluwę żartobliwie armatą.

Radiotelegrafista zatrzasnął furtkę i ruszył w stronę stacji kolejowej. Nagle z przeciwnego kierunku ukazało się auto, na którego widok przystanął. Wóz pelengacyjny... Później nieraz jeszcze „Zbik” będzie miał okazję obserwować go ukradkiem. A nowym radiotelegrafistą zainteresowała się pewna nader wrażliwa komórka Abwehry...

Teraz nastąpiły wydarzenia, które zelektryzowały pluton radio i Welnę. Nie minęły dwa miesiące, a organizacja zmuszona była zlikwidować rejon żyrdowski. Spowodowała to olbrzymia wyspa tutejszej AK, zakończona istnym pogromem i masowymi egzekucjami. W tej sytuacji sierżantowi nie pozostało nic innego, jak wydo-

być stamtąd radiostację i ukryć ją w bezpiecznym miejscu. Przeklinając w duchu zarówno Niemców, jak i smarkaczy, bawiących się w konspirację, a nie umiejących przestrzegać jej elementarnych zasad, zjawił się na Dworcu Głównym. Z pociągu przeornie wysiadł w Międzyborowie. Upał się wzmagał, piotun odurzał wonią, ale on, podążając polną drogą w stronę Żyrardowa, nieczuły był na uroki przyrody. Tam, w lasku położonym na prawo od toru, miał swoją osobistą niejako melinę, u „Kruka”; stąd go zabierano na miejsce gry.

Gospodarza nie zastał. Powitała go para wystraszonych staruszków, rodziców konspiratora.

— Gdzie pan tu przyjechał! — załamała ręce siwa babulenka. — Taki pogrom... Boże najświętszy!

— Muszę zabrać aparat! — rzucił niecierpliwie. — Gdzie mogę zastać syna?

Szczęściem zjawił się „Kruk”. Kiedy pojał, o co chodzi, dał gościowi znak i wyszli. W drodze ku miastu natknęli się na ostatniego dowódcę obstawy, „Długiego”.

— Po coście tu przyjechali, kołogo? — „Kruk” zwrócił się z pretensją do „Żbika”. — Tu cholernie gorąco...

— Dajcie łączniczkę, niech zawiezie aparat na punkt dowodzenia w Warszawie — odparł operator bez zbędnych tłumaczeń.

— Ba — skrzywił się tamten. — Nie mam ani jednej. Ktorej nie złapano, sama uciekła. Szlag by to trafił!

— No to zabiorę sam — zadecydował wściek-

ły na cały świat Welna. — Niech mi tylko ktoś rozpozna trasę, czy bezpieczna.

Odebra! „Nelkę” w jakimś prywatnym mieszkaniu na drugim krańcu miasta. Dwaj akowcy udali się na lustrację drogi prowadzącej do stacji. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności nadeszła pora południowa, kiedy Niemcy — żandarmi, gestapowcy i banszuce — w większości udali się na obiad. „Żbik” maszerował posuwistym krokiem, z radiostacją w teczce. Miał wygląd solidnego fachmana, pracującego dla Trzeciej Rzeszy. W środku był jednak napięty jak cięciwa.

Nareszcie... Wchłonał go kremowy budynek stacyjny. Stał przed kasą, kupił bilet do Warszawy i wyszedł na peron. Elektryczny pociąg był już podstawiony. Nieoczekiwanie zza węgła budynku wyłonił się patrol w składzie siedmiu żandarmów. Pod sierżantem ugięły się nogi. Co robić? Cofnąć się? Złe. Ruszyć do przodu? Niedobrze. Zaplatał się w chaos myśli. Z determinacją zacisnął zęby. Zachować zimny spokój... Za wszelką cenę spokój — nakazywał sobie. Zdecydował się. Skierował śmiało krok w stronę wagonu, wszedł do przedziału. Czy pracują ostro: gdzie zamelinować trafny sprzęt? Przysiadł na ławce, ale nim zdążył cokolwiek postanowić, wszedł żandarm. Czarna teczka na kolanach Welna pali nieczym rozgrzane żelazo. Na niej skrzyżowane ręce. Nabrzmiałe żyły pulsują szybkimi uderzeniami krwi. Żołdak najpierw skierował się w stronę dwóch wiejskich kobiet, zajrzał jednej do koszyka, drugiej, młósnał językiem z zachwytem na widok jaj, sera, masła i zawrócił ku mężczyźnie.

Ten, pchany niewytłumaczalnym impulsem, szeroko rozstawił nogi, gestem znaczącym, zachęcającym: „Zajrzyj, proszę bardzo, pod ławkę, zobacz, że nie taskam żadnego szmuglu. Jestem lojalnym urzędnikiem, a nie handlarzem.” Zandarm dał się nabrać na ten chwyt, schylił się, nie znalazł, a z tego wszystkiego zapomniał o skromnie prezentującej się teczce.

Teraz zapyta o kenkardę — pomyślał sierżant. Figurowało w niej jego fikcyjne zatrudnienie: geometra Wydziału Rolnego.

Niemiec nie raczył jednak zadać sobie tej fitygi i Welna odetchnął z ulgą. Uprzytomnił sobie, co by się stało, gdyby skrył teczkę pod ławką. Oblał się zimnym potem.

Na Dworzec Główny przyjechał krótko po godzinie policyjnej. Teczka paliła mu ręce, ale nie zdecydował się zdać jej na bagaż, w okupacyjnym bałaganie mogłaby zginąć razem z „Nelką”.

W ogromnym szczęście hali zandarmi leniwie lustrowali wzrokiem przygodnych pasażerów, czepiając się tego i owego. Welna spacerował, kluczył, to znowu gapił się po ścianach, niby to wozajzer czekający na swój pociąg. Nagle żołnierze znikli mu z oczu. Wtedy dał nura w drzwi. Patrzy, stoi dorożka. Wskoczył.

— Szanowny pan dokąd sobie życzysz?

— Na Stalową, do kolejki — szepnął. — Wal, bracie, wrywaj ile sił w szkapie! — To mówiąc, wciskał pocziwemu „sałacie” w dłoń banknot stużłotowy. Ruszyli z kopyta, w ciszy skąpo oświetlonych ulic.

Na Pradze Welna poczuł się pewniej. Dopisa-

ło mu szczęście, takie, jakie trafia się czasem szaleńcom: nikt ich nie zaczepił. Nadajnik ukrył w tapczanie. Rano, skoro świt, przewiózł „Nelkę” do Warszawy i przez łączniczkę przekazał na punkt „Pajaka”.

Zyrardów był dla konspiracji spalony. Trzeba było szukać innego rejonu gry.

PODIAZD POD „FLORENCJA”

Jest w Minsku Mazowieckim osiedle zwane Stankowizną. Jesienią 1942 r. mieszli się tam „Rolnik” — skład narzędzi rolniczych i nasion. Mało kto spośród mieszkańców miasta orientował się, że jeden z pracowników instytucji o tak niewinnie brzmiącej nazwie jest miejscowym komendantem AK i nosi pseudonim „Boruta”. I że dzięki niemu w zimnym i nieprzytulnym budynku „Rolnika” znalazła swoją nową bazę radiostacja „Zbika”. A już z całą pewnością nikomu do głowy nie przyszło, że na pewnego niczym szczególnym nie wyróżniającego się interesanta, dość często zabiegającego o zakup siewników i bron, zawzięcie polowali Niemcy. Jego też tylko, i nikogo więcej, zaniepokoiły pojawiające się od pewnego czasu na peryferiach miasta wozy pełnagacyjne.

Wtedy postanowił przenieść punkt gry na inną melinę. Oczywiście, zdawał sobie sprawę, że pozunięciem tym nie zażegna krążącego wokół niego niebezpieczeństwa, lecz jedynie odsunie je na krótko. Nadal był „klientem” w „Rolniku”.

Miedzy Abwehrą i kontrwywiadem Służby Bezpieczeństwa od dawna istniała wyraźna rywalizacja, często przeradzająca się we wzajemną niechęć, była wszakże dziedziną, w której nie robiono sobie nawzajem żadnych wstrętów — kiedy chodziło o tropienie zakonspirowanych radiostacji. Tutaj panowała całkowita zgodność poglądów i wspólnota interesów, w myśl zasady „ręka rękę myje”. Szef warszawskiej Abwehrstelle, urzędujący w pałacu Brühla major Dirksa oraz podporządkowani mu agenci nie kryli radiowego rozpoznania przed szefem kontrwywiadu SD, obersturmbannführerem Borysem Smysłowskim, zamieszkałym przy ul. Belwederskiej, a urzędującym w alei Szucha. Ten z kolei miał do dyspozycji odpowiednie komórki w komendzie Sicherheitspolizei i Sicherheitsdienst. Kiedy sprawa nabierała rumieńców i w grę wchodziło aresztowanie, zjawiało się ze swoimi usługami gestapo. Zwłaszcza kierownik Wydziału do Walki z Sabotażem i Dywersją, hauptsturmführer Josef Lechner, żywo interesował się radiotelegrafistami. Przy „badaniu” tych ostatnich każdorazowo uczestniczył specjalista od radiolokacji z Wehrmachtu. Niejeden polski radiowiec siedział w słynnym „tramwaju”, kiedy chciano wydębić z niego szyfry i lokalizację punktów gry.

Kiedy Niemcy zorientowali się, że silnie narasta korespondencja radiotelegraficzna między AK i Londynem, zaczęli wychodzić ze skóry, żeby

rozpracować sieć radiową, zwłaszcza w okolicach podwarszawskich. Nie byli partaczami, wiedzieli, że tu właśnie grają nadajniki i odbiorniki głównej komendy „bandyckiego wojska”. Hitlerowcy uruchomili ogromny sztab szyfrantów, łudząc się, że zdołają odczytać treść depeesz.

Dzień i noc pracowały oba ośrodki wywiadu radiowego: w gmachu Muzeum Narodowego i przy ul. Puławskiej. Tutaj bez przerwy czuwali przy aparaturze podsłuchowej podoficerowie i oficerowie służby radio Abwehry. Jaśniały siedlonym tarczom aparatów odbiorczych, przy których stale ktoś manipulował strzałką. Lampki kontrolne na tablicy rozdzielczej drgały to czerwonym, to zielonym światłem, a z głośników wydobywała się wiercząca uszy kakofonia zgrzytów i pisków. To krzyżowały się rozliczne radiostacje, z których trzeba było wyłapywać óbce, nieprzyjacielskie, „bandyckie”. Taśma kontrolna rejestrowała za pomocą odpowiedniego przyrządu przejęte szyfrogramy. W specjalnej księdze rozpoznawczej notowano kryptonimy, zakres fal i czasy nadawania każdej z podsłuchanych stacji. „Zbik” miał tu już, jak i wielu innych, swoją „metrykę” i „harmonogram”. Figurował wśród tych obdarzonych największą uwagą. Korespondował wyłącznie i centralnie z Londynem, z jakąś „Martą”, z jakimś „Romkiem”, z innymi — tyle wiedzieli od agentów hitlerowskiego wywiadu na Wyspach Brytyjskich. Nie orientowali się, że to kryptonim różnych radiostacji jednego i tego samego ośrodka.

Osobowe auto, pozornie niczym nie wyróżniające się, lechało dobrze już po południu szosą prowadzącą do Mińska Mazowieckiego. Tylko wprawne oko specjalisty mogło dostrzec rzecz niepokojącą: samochód wyposażony był w stację goniometryczną. Na dachu obracała się dookoła swej osi antena kierunkowa, opatrzona stopniowaną skalą. Obsługujący ją radiowiec miał ponadto kieszonkową aparaturę radiową, służącą do przechwytywania sygnałów nadawanych przez „bandyckie” radiostacje. Nie dalej niż przed godziną powiedziano mu na Puławskiej, na stałym punkcie radioobserwacji: „W Mińsku zaczęła pracować obca stacja. Ostatecznie zmieniła bazę. Należy ustalić jej położenie.”

Nie dojeżdżając do miasta, tuż za wałem ziemnym, można było dostrzec dworek i zabudowania gospodarskie. Był to majątek rolny zwany „Florencją”. Czarne BMW wymięło siedzibę właściciela i wolno zmierzało do śródmieścia. Tylko jadące w pewnej odległości za nim dwie ciężarówki wypełnione żandarmami zatrzymały się w cieniu ogrodowych drzew „Florencji”, maskując swoją obecność.

Była to godzina, w której Welna nawiązał kontakt ze Stanmore — między piątą a szóstą. Już od dłuższej chwili pracował jak w transie, nie dostrzegając nawet zaglądnącego przez wąskie okno jesiennego słońca, gdy do pokoju wpadł podekscytowany łącznik.

— Niech pan przestanie! — zawołał zduszonym głosem. — Podjazd chodzi dookoła budynku.

Operator błyskawicznie zwinął sprzęt, który natychmiast zabrała obstawa, i wyszedł na podwórze, klnąc w duchu chłopaków z ochrony. Najwidoczniej zagapili się, a przecież tak byli wyuczuleni na każdy szum opon i silnika... Kuty drań na cztery kopyta — pomyślał ze złością, ale i z uznaniem o sprytnym przeciwniku. Zresztą, auto musieli Niemcy zostawić za budynkiem; domyślał się, że mieli pod mundurami kieszonkowe słuchawki.

Tknięty przecuciem, cofnął się do sieni. W ręce ścisnął rewolwer, w kieszeniach tkwiły granaty. Jeśli nie uda się uciec — pozostaje walka albo tortury na gestapo. Innego wyjścia nie ma. Wiedział dobrze. Dlatego, idąc na seans, nie brał ze sobą dokumentów.

Zastygł w bezruchu: doszły go stłumione echa wystrzałów. Nim jeszcze ujrzał „Borutę”, usłyszał pospieszne kroki i ciężki oddech biegnącego człowieka.

— Auto odjechało! — zawołał głosem nabrałym radością. — Postraszyliśmy drani.

Ukazała się też ochrona z aparatem. Zamiast się wycofać, znalazła ona kryjówkę w sieni. Matmy szczęście, że tamci zgubili gdzieś swoją obstawę — rozważał Welna, postanawiając kontynuować seans. Ale głos wewnętrzny mówił mu, że tego dnia go nie dokończy.

Tak też się stało. Ledwie zdążył ustawić aparat i wymienić z „Romkiem” pierwsze uwagi dotyczące słyszalności, kiedy znowu zjawił się komendant.

— Cholerny świat! Ci amatorzy szpeku minęli

już „Florencję” i znów wałą tutaj. Dwie ciężarówki.

Sprawa była jasna: wóz pelengacyjny stamtąd, z odległości może 250 metrów, prowadził nasłuch, a w powiązaniu z poprzednim rozeznaniem prawie na pewno pchnął żandarmów.

— A co pan myślał? — odburknął „Zbik”, zły, że znowu musi związać majdan. — To nie poezja, to korespondencja wojenna! Jasne jak słońce, że wałą skurczybyki prosto na nas. No, na co czekacie? Zabierać! — zwrócił się do podkomendnych „Boruty”, wskazując „Nelkę” i oprzyrządowanie.

— Wygląda na to, że draka wisi w powietrzu — zawołał zuchowato młody żołnierz, cywil w przekrzywionej na bakier rogatywce.

Śmiałyś ty się, bratku, baranim głosem, gdyby zdolali nas zaskoczyć — pomyślał sierżant, kiedy wycofywali się już do pobliskiego lasu, popędzani wściekłym warkotem nadjeżdżających ciężarówek. Nie mogli już widzieć, jak hitlerowcy szczelnym pierścieniem opasali kamieniczkę.

Radiostacja zniknęła w jednej z melin. Słońce, jak strudzony całodzienną wędrówką podróżny, chyliło się ku ziemi. Wtóra udał się na przygotowany dla niego nocleg.

— Znowu nie. *Verfluchte Scheisse!* — zaklął paskudnie dyżurny oficer z ośrodka wywiadu wojskowego na Puławskiej. — *Rudi, komm her!* — przywołał radiowca, który z kwaśną miną dopiero co wrócił z rozpoznania. — Co się z tobą dzie-

je? *Pass auf* — pogroził mu palcem — bo z urlopu będą nieci. A Hilda prima babka — mrugnął porozumiewawczo, zaraz jednak spoważniał. — A tego z Mińska musimy mieć, żywego lub martwego, *verstanden?* Tak powiedział sam szef.

— *Ja wohl, herr Oberleutnant!* — zawołał ochoczo feldfelbel.

— Czekaj, nie wydzieraj się, lepiej przeanalizujemy akcję. No, dawać, kawa na ławę, po kolei.

Kiedy sierżant zakończył sprawozdanie, porucznik zamyslił się.

W naszym systemie nagonki musi tkwić błąd — mruknął sam do siebie. Zwyczajny podsłuch, dotychczasowy sposób wychwytywania sygnałów, ich rozpracowania, negligowania skrótów — wydają mu się teraz zbyt tradycyjne, przestarzałe. Jak i spótnione zazwyczaj akcje żandarmerii. Na takiego ewantnika, jak ten z Mińska, trzeba czegoś lepszego, jakiejś pułapki... Zwłaszcza że próby rozszyfrowania jego tekstu są chyba skazane na niepowodzenie. Nie dały też rezultatu zmiany napięcia prądu, a nawet wyłączenie elektryczności. Posunięcia te nie miały na mniejszego wpływu na funkcjonowanie tajnej radiostacji w tamtym rejonie.

— Czekaj, coś mi świta w głowie... Złowimy jeszcze tego spryciarza. *Hör mal...* Trzeba pogłębić, zidentyfikować rozpoznanie szczegółów charakteru jego nadawania. Kapitał, zakuta pallo! Ten bandyta jest fantastycznie wyszkolony i maśnięty zmysł, trzeba mu to przyznać. Dlatego jest nieuchwytny. Na razie — poprawił się. — A dłaczego-

go? Nie wiesz? Rudi, jak ci mózg odmarznie, to pomyśl — oficer podniecał się własnymi słowami, zerwał się z krzesła i szybkimi krokami przemierzał salę aparatury. — Dlatego, że w grze nawet takiego tuza muszą występować minimalne różnice w elementach. Fojateś wreszcie? No... Teraz wiesz, że faceta nie dość namierzać tu, na stałej stacji. Nie wystarczy, Herrgott, łapać go jednym autem. Na takiego asa trzeba posłać dwie, co mówię, trzy maszyny, wciąć się w jego punkt już z daleka, raz, drugi, trzeci, a potem... — zamachnął się ręką, jakby ciał mieczem.

Ziesz worek soli, a tamtego nie zrobisz — pomyślał złośliwie feldfebel.

— Myślisz, że to wszystko? — złapał go za rękaw przełożony.

— Melduję, że nie wiem, Herr Oberleutnant — wybelkotał, zmieszany jak ktoś schwytany na gorącym uczynku.

— No, oczywiście. Ty masz refleks szachisty, co godzina ruch. Słuchaj i ucz się, kapuściłana głowo. Złowimy go na „kolowrotek”, no nie, stary, głupi Rudi? Trzeba podejść go zniemacka, jak śmierć w Warszawie, w kilku pierwszorzędnie uzbrojonych, wyprowadzić w pole ochronę i łapać jeszcze na gorąco. Uff, ale się zmęczyłem!

SERENADA NA DWA COLTY

Komendant Obwodu „Lubiec”, zaniepokojony bliskością niebezpieczeństwa, na jakie narażona została radiostacja, zbesztal „Borutę” i polecił

wzmocnić ochronę. Byli to uzbrojeni cywile, rozlokowani po okolicznych posesjach. Bazę nadawczą przeniesiono do brudnego, niepozornego piętrowca naprzeciwko poczty.

Tymczasem sierżant Welna przeżył nowy podjazd. Zirytowany sygnałem „Marty”: „Telegram nieczytelny”, jak też narastającym szumem i trzaskami w słuchawkach, zadepeszczał zgodnie z wyrobionym nawykiem: „Przeszkody obcych stacji”. Znowu słyszał tylko pracę klucza, odgłosy wciskały się w uszy mocno, aż do bólu bębenków. Nagle poczuł, że jeży mu się włos na głowie. Zakłócenia przy tak wspaniałej pogodzie? To dywersja, chcą zmusić mnie do przedłużenia seansu po to, aby tym lepiej namierzyć...

Nie chciał się przyznać sam przed sobą, ale wyostrzona intuicja odpowiedziała mu: już go namierzyli, złapali.

Nagle zaskrzeczało mu w uszach: wrrr, wrrr, zupełna terkotka. Uruchomili burzymuchę, fetniacy, ale już bliżej, już mnie zlokalizowali, jak motyla na szpilce, psiakrew — zaklął z cicha. — Niedoczekanie... — syknął ze złością. — Nie dla nas taki bajer...

Wyłączył aparat i na chwilę zastygł w bezruchu.

Pierwsza rzecz to „zgubić” Niemców — uprzytomnił sobie. Błyskawicznie zmienił fałę, przechodząc na zapasową, umówioną na wypadek ostateczności. Nim go na nowo zlokalizują, może zjawi się „Boruta”.

Welna wykonał, co powinien, ale ciągle drążyła go myśl, że już go przedtem złapali.

Co, u diabła, z tą obstawą? Tamci, tropiciele, powinni zjawić się tu lada moment, tak to przecież sobie wykonypowali. Zerknął na cymę i gwizdnął przeciągle z wrażenia. Warta musiała tylko co zejść z posterunku, a nowa zmiana mogła jeszcze nie zdążyć zająć stanowisk. Jeżeli w tę lukę czasu wdrą się tamci, będzie grubsza charatanina... Poznał się bezbronny jak dziecko.

Przeczuć nie omylił go. Usłyszał wizg opon przed domem. Teraz już nikt z żołnierzy „Boruty” nie przedostanie się do mnie — pomyślał z zalem. Nie pozostało mu nic innego, jak czekać.

E tam, strach ma wielkie oczy — dodawał sobie odwagi, pragnąc okiełznać rozbrykaną wyobraźnię.

Nowa obstawa zauważyła wreszcie auta — i to mniejsze przed punktem gry, i tamte, schowane w parku. Z miejsca zorientowała się w niebezpieczeństwie. Ale sygnał do akcji zbrojnej nie padał. To nie sztuka ściągnąć do miasta pluton zandarmerii, ale co potem? Do ataku w takich wypadkach konspiracyjne wojsko posuwało się tylko w ostateczności. Chyba... chyba że tamci pierwsi użyją broni palnej. Zawsze pozostawała nadzieja, że telegrafista wykończy niewydarzonych pelengatorów i odjadą z kwitkiem. Nieraz już przecież mu się to udało.

Tak rozumując, dowódca drużyny pchnął łącznika. Ten, nie zauważony, przekradł się od strony tylnych zabudowań. Był to chłopiec odważny, ale niedoświadczony; nie wytrzymał nerwowo i zamiast lekko stuknąć w szybę, wałnął z całej siły pięścią w ramę okienną.

— Zwijać! — ryknął, jakby mu podpalano pięty.

Po głosie Welna rozpoznał „Kobalta”. Momentalnie szarpnął antenę, wpełchnął wraz z aparatem do teczki, którą ujął w lewą rękę; prawą zacisnął na rekojści colta. „Kobalt” wymachiwał swoim rewolwerem.

Dla trzech uzbrojonych podoficerów z radionamiaru byli niewidoczni, ale hałas zwabił tamtych do sieni. Akowcy, którzy zmierzali do drzwi wychodzących na podwórze, z miejsca natknęli się na Niemców.

— Halt! — wrzasnął jeden z hitlerowców i nacisnął spust rozpylacza, ale tamci dwaj zdążyli cofnąć się do bocznego korytarza. Seria rozszeźkała się, dudniło po kątach, kule poszły w drzwi i w ścianę. Welna rzucił się na podłogę, podczołgał do załomu sieni i z podłogi strzelił. Raz, drugi... Jęk trafionego napastnika był dłuższy niż huk wystrzału. Błyskawicznie porozumiał się wzrokiem z „Kobaltem”: grzejemy razem i w nogi.

Huk. Jeden, drugi, za nimi bezładna seria z bergmana, znowu salwa z coltów, istna serepada. Dwie skulone postacie wyprysnęły na podwórze.

— Halt! Hände hoch! — rozległo się za nimi histeryczne pianie falsetem. — Banditen!

Trafiłem tego ze słuchawką w ucho — uprzytomnił sobie bez sensu sierżant. Dojmujący wizg hamującej w pedzie ciężarówki skreślił go wewnętrznie. Runął ku wtopionej w ogrodzenie kolumnie na opał, „Kobalt” za nim. Przecisnęli się

przez zamaskowany otwór i wyprysnęli do ogrodu, a w tej samej chwili kule z empi podziurawiły deskę zewnętrznej ściany na sito. Szum opon, nagle narosły i natychmiast wygasły, wskazywał, że nadjechało dalsze auto z żandarmami. Przemknąwszy między krzewami do parkanu, wpadli niemal na nadbiegających z boku żołnierzy z obstawy.

— Atakujemy? — rzucił z determinacją „Boruta”.

— Teraz? Po co? — odparł zadyszany radiotelegrafista. Wprawne ucho mogło wyłowić w jego głosie odcień ironii. — Radio mam — potrząsnął teczką — a z naszych nikt tam nie został. Wystrychnęliśmy fryców na dudków. Wystawiliśmy, proszę pana, do wiatru. Wjeźmy.

— No, to dawajcie aparat, odniesiemy na melinę — zdecydował komendant.

Z wysiłkiem gramolili się przez wysoki drewniany parkan, oddzielający sad od wyeksploatowanego kartofliska. Kiedy skrył ich las, zaczęli się znowu naradzać.

Warkot silników wskazywał na to, że niemiecki podjazd wraz z eskortą wyniósł się jak niephyszny.

— Zrobimy polowanie na szkopów. Na tych, którzy petała się po mieście — zaproponował dowódca drużyny. — Przecież dziś jedenastego listopada, rocznica odzyskania niepodległości. Trzeba podtrzymać tradycję rozbrowienia Niemców.

Dali ochoczy aplauz i ruszyli na miasto. Colty i granaty każdy skrył przemyślnie i nikt by w tej gromadzie cywilów nie rozpoznał wojska. Weszli

w ulicę Piłsudskiego, bocznymi posuwało się równoległe rozpoznanie. Kiedy znaleźli się przed knajpką na rogu Świętokrzyskiej, „Boruta” zapuścił przez szybę żurawia i cofnął się, jakby go odrzuciła potężna siła. Na twarzy zagościł mu złowróżbny uśmiech.

— Mamy ich — rzekł. — Pięciu esesmanów.

„Żbik” mrugnął do niego.

— Zostawili ich na czatach, żeby przewachali powietrze po nieudanej eskapadzie, a ci sobie na piwko...

— Pewnie myślą, że jak się uspokoiło, to pójdziesz tam znowu grać — rzucił komendant. — A oni cię wtedy za halo... A to bęwały! Co do bazy, od jutra dostaniesz inną, to się rozumie. No, ale pomyślimy, jak sprzątnąć tych drani z knajpy. Oho, patrz, pędzi łącznik.

— Na „Florencji” pięć aut z zielonymi — wypalił jednym tchem zdyszany chłopiec. „Borucie” ściągnęła się twarz.

— Stoi też takie mniejsze, czarne, z wiatrakami na dachu czy co... — podrapał się po głowie wyrostek. — Nawet trzy takie widziałem...

Radiotelegrafista aż zagwizdał z wrażenia. Ładne polowanko — pomyślał. — Jasny gwint...

— Panowie, w tej sytuacji nie mamy żadnych szans — komendant był szczerze zmartwiony. — Ich będzie chyba kompania, mają erkaemy. Rozjeść się.

W tym samym momencie u wylotu ulicy zafupotały buty patroli. Miasto było szczelnie obstawione. Zaraz też i ciemna, wczesna noc otoczyła wszystko czarną powłoką.

Niezadowolony z siebie i z całego świata szef „głupiego” Rudiego wędrował zamysłony korytarzem Funk-Abwehrstelle. Medytował, jaki by tu wynaleźć skuteczniejszy sposób schwywania „bezełnego” radiotelegrafisty, o którym mówiąc, nawet jego wysoko postawieni przełożeni miesza-
li klątwy z wyrazami uznania.

Zdenerwowani kolejnym niepowodzeniem hitlerowcy postanowili uderzyć na punkt gry połączoną siłą SS i żandarmerii. Dzień upatrzili chytrze: niedzielę. Podsluchali, że „Zbik” nadawał w sobotę do późnego wieczora, i zaryzykowali: „Nie dokończył, więc resztę musi wydać jutro, w niedzielę, a pobożni Polacy, no, ci bandyci z oddziału ochronnego, pójdą do kościoła, bo myślą, że ich Bóg jest mocniejszy niż nasz Gett...”

Nie omyliły ich przewidywania. Komenda Główna zastrzegła sobie, że korespondencja alarmowa musi być wydana natychmiast. O dziewiątej wieczorem radiotelegrafista zostało jeszcze pięć grup materiału. Prosił, przekonywał, groził, wszystko na nic. Odmówiono obstawy na dzień świąteczny. Miał do wyboru: nie wykonać rozkazu i odłożyć seans do poniedziałku albo grać bez ochrony. Wybrał to drugie. Być może, na decyzję tę wpłynęła okoliczność, że tym razem pracować miał nie w mieście, lecz w pobliskim lesie.

Hitlerowcy, gdy tylko schwyтали „Zbika” w pajęczą sieć wykresów, spadli na niego jak burza. Posłyszawszy szum silników, zdemontował urządzenie, ale nim zdążył zbiec do lasu, odciął mu

drogę zwerbowany telefonicznie oddział miejscowej policji i bahnschutzu. Niespodziewanie z głębi lasu wypadła tyraliera w siłę kompanii. Wywiązała się walka. Strzelanina umożliwiła Welnie wycofanie się za linię ognia. Komenda „Mewy” dosłownie w ostatniej chwili zdołała przełamać lokalne opory i podziemne wojsko, rade nierade, stanęło w gotowości. Tyle że nie zdążono uprzedzić o tym radiotelegrafisty.

Teraz dalsza walka nie wydała się akowcom celowa. Odskoczono od nieprzyjaciela, cywile złożyli broń na melinach i przemknęli do swoich domów, a zwerbowani na tę akcję partyzanci z lasów przedostali się do najbliższej wsi i także ukryli broń.

Meldunek o niepowodzeniu akcji dotarł do samego szefa kontrwywiadu SD i utknął u niego. Wysoki funkcjonariusz SS nie chciał psuć humoru najwyższemu bonzom. Miał po temu swoje osobiste powody. Szef Abwehry, wolny od tych skrupułów, informacją o poniesionym fiasku podzielił się z pułkownikiem Hofrichterem, szefem kontrwywiadu wojskowego na Generalną Gubernię i Związek Radziecki, występującym pod pseudonimem „Fritz” i zamieszkującym na czwartym piętrze hotelu „Bristol”. Ten jednak odparł sucho, że ma ważniejsze sprawy na głowie.

PODJAZD POD LEŚNICZÓWKA

Tymczasem zaszły wypadki, które jeszcze bardziej poplątały Niemcom szyki. Wczesną zimą porucznik „Pajak” odkomenderował do okręgu

„Mewa”, dla ścisłej współpracy z Wełną, radiotelegrafistą Józefa Miłosza (pseudonim „Biały”). Był to rutynowany fachowiec z przedwojennego Centralnego Biura Operacyjnego Ministerstwa Poczty i Telegrafów. Kiedy warszawski ośrodek radiokomunikacji zajęli Niemcy, z konieczności rozpoczęli rekrutację dawnych pracowników. Namówiony przez jednego z kolegów Miłosz zgłosił się do kierownika ośrodka.

— Jak ma pan z czego żyć, to niech pan sobie inaczej radzi — szepnął znacząco inżynier Kruczkowski i radiooperator z miejsca zrozumiał. Sprowadził się z żoną i córką do wsi Krzewina (gmina Okuniew w powiecie warszawskim) i tutaj wstąpił do Związku Walki Zbrojnej. Do kennkarty podał, że jest rolnikiem wysiedlonym z Kaliskiego. Ten nowy zawód — bauer — nieraz mu potem uratował życie. Tak zakonspirowany rozpoczął działalność w grupie sabotażowo-dywersyjnej. Podcinał słupy telegraficzne i energetyczne, rozbijali z bronią w reku mleczarnie i poczty. Kiedy w trakcie wewnętrznej ewidencji podał swój prawdziwy zawód, natychmiast zainteresowała się nim Komenda Główna. Odtąd jego działalność konspiracyjna potoczyła się zupełnie innym torem. Po sprawdzeniu umiejętności radiotelegrafisty przez instruktora z „Omnibusa”, trzeciej kompanii „Iskier”, skierowano Józefa w rejon Mińska. Już w czasie swojego pierwszego seansu przeżył podjazd „Pasia”, młodzieńca łączniczka dowódcy „Orbisu”, tuż przed Bożym Narodzeniem dostarczyła Miłoszowi obfity materiał do korespondencji. Uprzednio uzgodnili,

„Biały” i szef kompanii, za pośrednictwem dziewczyny: „Gram za trzy dni w Mrozach, za sanatorium „Rudka”, w pobliżu leśniczówki”. Operator był zdania, że zawsze należy szukać bezpiecznego miejsca do gry i że najlepiej się do tego nadaje las albo jakaś stojąca w jego pobliżu niepozorna wiejska chałupka.

O oznaczonej godzinie, kiedy w Stanmore nieprzerwany nasłuch trwał na umówionych falach, plutonowy Miłosz przyjechał do stacji Mrozy koleja. Stąd pieszo udał się do nędznego gospodarstwa w położonej tuż pod lasem wsi. Przez ośnieżone pnie świerków można było dostrzec zarys leśniczówki.

„Basia” oczekiwała go już niecierpliwie.

— Oho... — uniósł brwi radiotelegrafista, przebiegając wzrokiem długie rzędy liter na pliku bibulek. — Znosi się na dłuższe granie. Musicie zapewnić dobre ubezpieczenie — zwrócił się do dowódcy obstawy, którym był Jan Szarek-„Karnot”.

Jakoż wciągnięto do ochrony dodatkowo zaufanych kolejarzy, którzy mieli dawać baczność i zaalarmować, gdyby Niemcom przyszło do głowy zorganizować podjazd na dręczynach. Drogi od strony miasta strzegli zwerbowani okoliczni chłopci. Zadaniem ich było sygnalizować każdy nadjeżdżający samochód.

„Biały” był tak pochłonięty zadaniem, że nie miał czasu zachwycać się piękną, wysadzaną świerkami aleją, która wiodła od drogi do punktu gry. Rozpoczął seans o 15.00, a że wkrótce zapasć miał zmrok, więc zagęszczono posterunki.

Po godzinie wystukiwania kluczem nadbiegł łącznik Jan Baran, „Janek” z meldunkiem, że od strony lasu jadą Niemcy. Operator wytrzymał jednak nerwowo i nie przerwał pracy. Drugi z kolei meldunek brzmiał osobiście: tamci wjechali w las, nacięli choinek i odjechali. Wtedy Miłosz poprosił o zwrócenie szczególnej uwagi na leśniczówkę, za którą znajdował się tartak, strzeżony przez stuosobowy oddział Wehrmachtu.

Łączność tego dnia była zdecydowanie zła. Już świt wstał błady i rozmazany, potem rozpanoszyła się obrzydliwa mgła. Operator „Romka” raz po raz żądał: *q r t* — zaczekać, *q r m* — telegram nieczytelny, *b d* — źle, *p s e*, *r p t* — proszę powtórzyć. Miłosz zmienił falę, ale słyszalność stała się jeszcze gorsza, więc przeszedł z powrotem na poprzednią. Zresztą, i on miał trudności z odczytaniem londyńskiego kolegi. Zasygnalizował kilkakrotnie: „Wasze sygnały zanikają”. Szczęściem w miarę upływu czasu odbiór ulegał poprawie, ale stopnia zadowalającego nie osiągnął.

Męczył się tak „Biały” do dziewiątej, narzekając to na woń, to na kapryśną aurę. Był u kresu sił i nawet nie zauważył, jak stopniał mu zapas depeesz. Nagle wpadł do izby wystraszony łącznik.

— Panie, szwaby już tu, w alejce!

Nic innego, tylko zdjęli wartownika, dał się podejść — przemknęło przez myśl „Białemu”. Zwinął pospiesznie aparaturę i razem z łącznikiem wycofali się do lasu. Niebo rozgwieździło się od rakiet, leśniczówka stała się widoczna jak w dzień. Tyraliera żandarmów biła seriami po lesie. W po-

bliżu rozbrzmiewały obce głosy. Niemcy przetrząsali skraj lasu. Kilku wtargnęło do leśniczówki, zrywali podłogi, z niemiecką pedanterią przeszukiwali cały budynek. Miłosz, obserwując tę scenę z ukrycia, śmiał się w duchu. Ten właśnie obiekt uznali za bazę nadawczą, a o nędznej chałupinie nawet nie pomyśleli. Zresztą i tutaj zdążył zatrzeć ślady swojej niedawno zakończonej działalności.

I tym razem dowódca obławy przekazał do centrali niepomysłną wiadomość. Wozy pelengacyjne i auta pełne uzbrojonych ludzi musiały zawrócić do bazy na Puławską, nie odniósłszy żadnego sukcesu.

POJEDYNEK Z LOTNIKIEM

Wiosną 1943 r. „Pająk” awansował na zastępcę dowódcy „Orbisu”, a Węlcę mianowano dowódcą plutonu niarmowego. Z tą chwilą obowiązki związane z korespondencją radiową w rejonie Mińska przejął całkowicie „Biały”. Po kotle stalingradzkim dowództwo AK wyraźnie dążyło do wydanej rozbudowy sieci radiostacji, tak więc i „Żbik” otrzymał odpowiednie w tej mierze rozkazy. Do ważniejszych jego obowiązków należało teraz organizowanie nowych punktów gry, przeprowadzanie inspekcji i instruktażu.

Był chyba początek kwietnia, puścili już łody na rzekach, kiedy „Żbik” wizytował Miłosza. Wspólnie przeżyli przygodę z lotnikiem. Zdarzyło się to w lesie na terenie tartaku Krupki, w po-

bliżu majątku o tej samej nazwie. „Biały” przyjechał na rowerze i za głowę się złapał na widok obstawy, jaką mu przygotowano. Dworacy na koniach, istna kawalkada zapustowa, pospolite ruszenie powstańców. Tylko zaśpiewać: „Wojenko, wojenko, cożeś ty za pani”. Za „kawalerią” gromada wiejskich wyrostków taszczyła lekkie karabiny maszynowe, na twarzach przejęcie i zapal, jakby już nadszedł czas rozbrajania Niemców. W tyle za chłopakami zerkali ciekawie, chichocząc, biodrzaste dziewczuchy ze wsi z pistoletami maszynowymi, ta przez ramię, tamta przez piersi.

Miłosz dobrze znał ten las, mieszkał w odległości siedmiu kilometrów od tartaku, więc podjechał z innej strony, niż się go spodziewano. Zszedł cicho z roweru, wziął kijek w rękę i flegmatycznie podążał ku malowniczej ochronie. Akurat minęła umówiona godzina — 14.30.

Pierwszy dojrzał nieznanego leśniczy, w organizacji zastępca miejscowego dowódcy.

— Stój! — wrzasnął. — Padnij!

Wszyscy wytrzeszczyli oczy na przybysza, mającego raczej wygląd pielgrzyma, niż tajemniczej osoby z konspiracji, która „będzie gadała, ho, ho, może z samym Sikorskim, panie”.

Plutonowy posłusznie położył się na skąpym poszyciu. W takich wypadkach nie było żartów z wycelowaną bronią.

— Kto idzie? — indagował „wojak”.

— Jak to idzie? Melduję panu, że przecież leżę — uśmiechnął się „Biały”.

— Kto leży?

— Swój.

— Jaki swój?

Tego już było za wiele nawet dla takiego flegmatyka jak Miłosz.

— Ty, bracie, daj spokój i prowadź mnie do dowódcy — w głosie radiooperatora zabrzmiała nuta rozkazu. Podniósł się i spokojnie strzepywał pył z ubrania. Wytrzeszczali na niego oczy. Zjawił się komendant na szczeblu gminy, któremu zameldowano o schwytaniu „takiego, co przyszedł na przesłpiegi”.

— Hasło? — rzucił krótko, snąc domyślając się prawdy.

— Zamek — podał flegmatycznie Miłosz.

— Zamość — odparł tamten z namaszczeniem.

— Panie, gdzie pan tu po tych krzakach wędruje? — w głosie zabrzmiała wymówka. — Trzeba było uczeiwie rowerkiem zajechać z frontu, od drogi. Czekaliśmy, chcieliśmy hucznie przywitać. No bo pan przecie z Warszawy, od samego generała. My, choć nie ze stolicy, też nie w ciemną bici, znamy uszanowanie, a jakże...

Leśniczy z niesmakiem taksował niepozorną postać przybysza, odzianego jak siódme dziecko stróża w mocno podniszczoną kurtkę.

Zaprowadzili go do kantorku, gdzie miał grać. Dzień był chłodny, więc naciągnął rękawiczki.

— Tylko, bardzo proszę, uważajcie na samolot. Jak go dojrzycie, zaraz zawiadamiajcie — zwrócił się z prośbą do dowódcy.

— Samolot? Gdzie tu, panie, samolot? Czego by tu szukał?

„Biały” uśmiechnął się. Lotnik-radiowiec, w

maszynie wyposażonej w przyrządy goniometryczne, już od tygodni tropił go, prześladował.

Zaferowany korespondencją, zapomniał o całym świecie, kiedy nagle w słuchawki wdarł się mu łoskot silnika. Przetelegrafował a s — zacząć, a kiedy warkot ucichł, wrócił do przerwanego zajęcia. Spokój nie trwał długo, tamten znówu dał o sobie znać. Miłosz przerwał nadawanie. Podniósł się ze stolka i wyrzucił przez okno, cingle ze słuchawkami na uszach. W tej samej chwili przebiegły nawigator polecił zgasić silnik. Ochrona zbagnetizowała maszynę, która lecąc na małej wysokości defilowała przed tartakiem. Pasażer — także ze słuchawkami — wychylił się i rozglądał ciekawie, kierując wzrok w stronę drewnianego biurowca. Nagle „Biały” porzucił narastający łomot serca. Momentalnie uświadomił sobie, że oni dwaj — on i jego wróg, kolega po fachu — widza się, rozpoznają.

Londyn domagał się natarczywie sygnału. Szum silnika oddalił się.

— Melinować wszystko — rzucił rozkaz łącznikowi. — Powiedz pan komendantowi, niech wszystko pietruje, bo niedługo będą tu żandarmi.

I w tej właśnie chwili pojawił się „Żbik”. Wiedział już, o co chodzi. Sam wszystko zrozumiał, ujrzawszy samolot, krążący tuż nad drzewami.

— Kończycie grę, panie plutonowy?

— Skądże — odburknął „Biały”. — Nakrył mnie, miglanc. Trzeba się wynosić, i to szybko.

— Wątpię, czy tu przyjdą — pokręcił głową

Welna. — Grał pan tak beczelnie, że musieli zwaćać tu wielką obstawę. Poza tym znana rzecz: boją się lasu. Ale na wszelki wypadek ma pan gotową melinę z ochroną w Dębem Wielkim.

— Skoro tak, to chodźmy — podchwycił Miłosz. — Muszę wydać całą korespondencję.

— Racja — potwierdził dowódca plutonu, kiedy byli już w drodze. — Ci panowie w białych rakawiczkach, no, ci z Anglii, wzięliby nas za partaczy. Czy oni mają pojęcie, w jakich warunkach tutaj pracujemy? — szepnął z goryczą. — Stara prawda, proszę pana, że syty głodnemu nie wierzy...

— Trudno, jest wojna, a my w „kotle” — uśmiechnął się łagodnie „Biały”. — Spieszmy się. A nuż od tych depesz, które mam przy sobie, zależy przyspieszenie kaputt dla szkopów...

Powiedział to jak w proroczym widzie. Tego właśnie wieczora przekazał do sztabu naczelnego wodza sensacyjny meldunek o wysłedzeniu przez wywiad AK miejsca produkcji „cudownej broni” führera.

28 marca 1943 r. — wystukiwał zaszyfrowany tekst operator. — Nie potwierdzona informacja pochodząca z lutego określa, że samoloty są konstruowane i poddawane próbom w Peenemünde na wyspie Usedom na Bałtyku, około 50 mil na północny zachód od Szczecina. Zostało podane, że tamtejsza fabryka zatrudnia 8 000 ludzi, że są tam laboratoria i eksperymentalny aerodrom. Szasy i linie kolejowe w promieniu sporo (several) kilometrów od stacji Peenemünde zostały zamknięte

dla wszystkich osób nie posiadających specjalnych przepustek.

Jeszcze tej samej nocy nad ranem depesza została przekazana za pośrednictwem angielskiego SCE* Komitetowi Szefów Sztabu w Londynie.

Zegnając się z Miłoszem, „Zbik” zapowiedział wizytę nowego dowódcy „Orbisu”, „Franka” Jedlińskiego. Peprzedni, „Narcyz”, przeszedł do sztabu łączności KG.

— Trzeba tego słynnego „Białego” zobaczyć, jak też on wygląda, tak powiedział „Frank”. Przywiezie ci go „Zygma”, chyba ją znasz, a on to pierwszorzędny gość, dusza chłop. W służbie wymagający...

WPADKA Z „CICHOCIEMNYM”

Letnie bombardowanie Peenemünde przez 600 bombowców RAF oraz niepowodzenia na łuku kurским tak rozwścieczyły hitlerowców, że niesłychanie wzmożli i tak nieludzki terror na zapleczu frontu, w szczególności na obszarach polskich. Zaostrzone metody walki z organizacjami podziemnymi przyniosły smutne żniwo w postaci wysp, egzekucji i zesłań do obozów koncentracyjnych. Niezwykle ciężkie ofiary poniosły załogi tajnych radiostacji. Wśród wielu innych wpadł „Wiesław” — Łukasik, który operował w Warszawie na Siennej i Żoliborzu, w Pruszkowie i Konstancinie. W tej ostatniej melinie dopadli go z winy ob-

* Special Operations Executive — Oddział Operacji Specjalnych.

stawy, tak że nie zdążył nawet zdjąć słuchawek. Ciągany z Pawiaka na Szucha, sywał tylko nieżyjących. W ten sposób nikomu nie zaszkodził, a sobie — przynajmniej na razie — ocalił życie. Gdyby wiedział, jakie to życie czeka go w Mauthausen...

Niełatwo było zapelnąć luki w przetrzebionych kadrach. Dla ratowania operacyjnego kontaktu z Londynem szefostwo batalionu „Iskry” staowało wprost na głowie: wzmocniono werbunek, pospiesznie szkolono nowych radiotelegrafistów. Welna, często kręcący się po podwarszawskich okolicach, ku niezmiernej radości swojej i „Franka” odkrył kilku rutynowanych operatorów. Janusza Romana (pseudonim „Trop” alias „Łazik”), grającego początkowo w strefie Radzymina, obsadził na linii Tłuszcz — Wyszaków. Na terenie Legionowa wziął w obroty Krasuckiego „Lola”.

Tymczasem jedni przybywali, drudzy ubywali. W niemieckich akcjach odwetowych zginął na obszarze Brwinowa świetny fachowiec i odważny do szaleństwa bojowiec „Sep”. Dowódca plutonu, awansowany ostatnio do stopnia podporucznika, zwiłaj się jak w ukropie, żeby nie tylko obsadzić pozbawione ludzi bazy, ale i utworzyć nowe. Był w ciągłym ruchu, jak bączek. Tylko co poślubiona żona kiwała nad nim głową: małżonek z niego, pan domu czy rajzer-komiwojażer?

Nie mógł zapomnieć aresztowania „Sep”. Przypadkowo był świadkiem tej tragedii. Krytycznego dnia zawitał do Brwinowa, nie mając pojęcia, że gestapo i zandarmi zawzięcie od rana przeczesywali miasto. Zapoznawszy się z sytuacją, dał

rozkaz zwinienia bazy i ukrycia aparatu. Prócz Welny i „Sępa” w grupie znajdował się sierżant radiotechnik „Karas” oraz „cichociemny” — radiotelegrafista zrzucony ostatnio z angielskiego samolotu. Miał pseudonim „Nastureja”, jako że należał do serii spadochroniarzy oznaczonych nazwami kwiatów. Drugi z tej samej serii, oddany pod komendę „Żbika”, nosił pseudonim „Krokus”. W innej serii — nie kwiatów, lecz roślin — aliancki samolot zrzucił radiotelegrafistę majora Bogusława Wolniaka — „Mietę”, komendanta szkoły łączności w Londynie, przed wojną dowódcę kompanii w pulku radio. Ale to nastąpiło już później, w dniach powstania warszawskiego.

Tamtego dnia w Brwinowie podążali ku zbawczej melinie, gdy nagle u obu wylotów ulicy pojawiły się patrole Welna, obdarzony niesłychanym refleksem i zimną krwią, skoczył z tęczką, w której miał „Nelkę”, do najbliższej bramy. Pozostała trójka zgarnęli żandarmi pod najbliższą ścianą, wraz z kilku innymi, przypadkowo złapanymi pechowcami. Gdy tylko wzięto się do rewizji, skoczek, który miał kod radiowy zaszyty w jesionce, nie wytrzymał nerwowo i zażył cyjankali, te „ostatnie oleje namaszczenia” dywersantów i wywiadowców.

Żandarmi natychmiast powiadomili gestapo. Popruto na kawałki ubranie denata i natrafiono na kod. Mimo że przy reszcie zatrzymanych nie znaleziono nic, okoliczność, że byli w jednej grupie z „cichociemnym”, zadecydowała o ich losie.

Welna z ukrycia obserwował rozgrywający się dramat. Radiostacja paliła mu ręce. Wsunął się

na podwórze i cisnął aparat do studni. Potem wyszedł od tyłu na sąsiedni dziedziniec, a stąd na inną ulicę. W drodze do stacji czuł lekki zamęt w głowie. Samobójczy gest skoczka „Sępa”, „Karas”... A tu jeszcze dopełniło czary goryczy zatopienie „Nelki”. Miał przed oczyma obraz... to-nącego dziecka. Przyszło mu na myśl, że losy radiostacji są często podobne do losów ludzi.

Po upływie niespełna roku, na krótko przed powstaniem, wrócił do Brwinowa i wydobyl z wody radiostację. Wysuszył ją w piecu służącym do wypieku chleba.

Nadzwyczajnym zrządzeniem losu ten właśnie aparat, jako jedyny z grających w pierścieniu warszawskim, przetrwał do końca powstania i nie dostał się w ręce Niemców.

Ale nie uprzedzajmy wypadków.

„BIAŁY” KONTRA DZIEWIĘCIU AUTOM Z ŻANDARMAMI

Udany lipcowy zamach partyzanckiego oddziału AK na szefa gestapo w Mińsku, Schmidta, tylko na jeden dzień odsunął spotkanie z „Basią”. Miłośz niecierpliwił się nie bez powodu. Jego „Nelka” była tak wyeksploatowana, że nie nadawała się już do remontu, więc zgłosił dowództwu zapotrzebowanie na nową. No i doczekał się — łączniczka miała przywieźć aparat z Warszawy. Umówiono kontakt w Dębem Wielkim, tuż przy stacji kolejowej, w mieszkaniu granatowego policjanta, członka organizacji.

„Biały” zjawił się na kwadrans przed nadejściem warszawskiego pociągu. Wymienił z panem domu hasła, przywitał się z jego żoną, nauczycielką z miejscowej szkoły. Siedli w trójkę przy oknie i ze skrywanym niepokojem wyczekiwali chwili, kiedy lokomotywa wtoczy się na peron.

Nagle policjant zbladł; kobieta poszarzała na twarzy. Miłoszowi żywo zabiło serce. Stacja zaroiła się od żandarmów i tajniaków. Zanosilo się na gruntowne „filcowanie” podróżnych.

— Klapa — szepnął „granatowy”, ze zdenerwowania wylamując sobie palce. — Złapią dziewczynę. Już po nas...

— Basia nie sypnie — zaproponował z przekonaniem operator.

Posterunkowy machnął desperacko ręką, jakby chciał powiedzieć, że nie zna granic ludzkiej wytrzymałości na ból i że praktyka dała w tej mierze zaskakujące wyniki, bo nigdy nic z nikim nie wiadomo.

— Nasze dzieci... — kobieta spojrzała na niego z bólem w oczach.

— Wobec tego idziemy stąd — zdecydował gość. — Zmienimy powietrze...

Pociąg wypluwał już podróżnych z wnętrza wagonów. Trójka konspiratorów, oddalająca się wraz z dwójką maluchów ze strefy zagrożenia, widziała, jak ich kolejno legitymowano, dzielono na grupy.

Na widok drobnej, blond-ryżawej, niepozornej dziewczynki o zadartym nosku, przyodzianej w kurtkę à la „panterka”, aż przystanęli z wrzenia. Oczy „Białego” obracały się za niesionym

przez nią koszyczkiem jak słoneczniki za słońcem. Kobiółka była zwyczajna, taka, z jaką idzie się po zakupy. Na wierzchu spoczywała marchew i czerwone buraki.

Czerwień... krew... — tłukły się oszalałe myśli pod czaszką radiotelegrafisty. Patrzy i oczom nie wierzy: łączniczka idzie żwawym krokiem, posuwiscie, prosto na... gromadkę dowódców akcji. Patrzy im w oczy, mija, skręca, przecina tor i kieruje krok ku melinie. Trójka dorosłych zawraca i idzie za „Basią” jak zaczarowana. Z ulgą zamykają drzwi. Ona spokojna, tamci rozdygotani.

— Widziałś ich? — pyta niezbyt mądrze policjant. Jego żonie drżą wargi, szklą się oczy. Miłosz bezwiednie ścisną kurczowo to duże warszawskie dziecko za rękę.

— No to co? W Warszawie ich jeszcze więcej — wrzusza chudymi ramionkami siedemnastoletni gość.

„Biały” żegna się i z nową radiostacją podąża na punkt gry, gdzieś między Mińskiem i Stanisławowem. Jest już po drugim koszeniu siana; ustawione w kopy, bije w nozdrza odurzającym zapachem. Po obu stronach szosy wieś o rozrzuconej zabudowie. Z jednej strony długa linia chałup, z drugiej trzy nędzne, rozpadające się obejścia. W jednym z nich, położonym w bezpośrednim sąsiedztwie lasu, ochrona zainstalowała aparat. Ze względu na bliskość szosy stan obstawy przekroczył setkę. Sami jej uczestnicy dziwili się tej „przesadnej” ostrożności.

— Panie, kto tu Niemca widział? Tu nikt nie przychodzi, świat zabity deskami.

Zegarzek wykazywał 20.00. Zapas depesz stopniał już do dziesięciu grup, gdy nagle nieprzewidziane okoliczności spowodowały przerwanie nadawania. Najpierw stanęła prądnica, potem ni stąd ni z owąd niebo zaroiło się od rakiet. Łącznik zwinął sprzet do plecaka i czmychnął do lasu, podczas gdy Miłosz, udając wieśniaka, wskoczył pod pierzynę.

Noc nieprzeniknionym mrokiem znowu spowila wszystko dokoła, wlokły się długie godziny, wreszcie kur pierwszy zapiał, a on jeszcze nie zmrugał oka. Nasłuchiwał. Gospodarz, który udał się na wieś dla zasięgnięcia języka, przyniósł niezwykle wieści. Wszystkich mężczyzn z tamtej strony drogi hitlerowcy wywieźli do Mińska i tam oglądali im ręce i uszy. Chłop wzruszał ramionami, chichotał rozbawiony. Ale Miłosz wiedział, o co chodzi: w ten sposób Niemcy chcieli wytropić ściganego przez nich radiotelegrafistę. „Biały” uśmiechnął się pobłaźliwie: tą metodą nigdy go nie dostaną. Specjalnie utrzymywał brud za paznokciami i odciski na zrogowaciałej skórze palców, zwłaszcza serdecznego i wskazującego. Słuchawki miał tak spreparowane, że nie zostawiały śladów.

Wypadki minionej nocy miały niezwykłą scenierię. Pierwszy wartownik wlaź w kopę siana i usnął. Nieprzyjaciela zauważył dopiero drugi. Awaria prądnicy okazała się szczęśliwym trafem: zdezorientowani żołnierze z radionamiaru skreślił w lewo do głównej wsi. Za nimi wjechały tam cztery samochody specjalne z Warszawy. Garnizon miński dostarczył pięciu aut załadowanych żandarmierią.

NIEBEZPIECZNE SPOTKANIA

W czasie gdy plutonowy niemal cudem uniknął wpadki, podporucznik „Zbik” przeżywał w innych stronach nie mniejsze emocje.

Łączniczka dowódcy batalionu dopadła go w prywatnej melinie w Legionowie, gdzie zjawił się razem z kapitanem „Frankiem” i dwoma nowymi radiotelegrafistami. Pociąg był tak przepelniony, że — obawiając się niepożądanych uszu — wygramolili się na dach i tutaj odbyli służbową odprawę. Welna przewidywał trudności w rozszerzeniu sieci punktów gry na północny zachód, ale dowódca uciął krótko: — Co tu się nie da zrobić? Wszystko da się zrobić.

„Zygma” przywiozła materiał — pięć krótkich depesz i rozkaz wyższego dowództwa. „To musi być wydane bez względu na to, co mogłoby się stać”. Ta formuła opatrywano radiogramy najwyższego znaczenia, wagi państwowej.

Nie przelewki — taki rozkaz i „Zbik” zadecydował, że wykona go osobiście. Bez zwłoki udał się w towarzystwie obstawy na tutejszy punkt nadawania. Maskująca pałatka stała w sosnowym lasku przy piaszczystej, krętej drodze. Błyskawicznie związał się z „Martą”. Kiedy wydał już dwa szyfrogramy i rozpoczął wystukiwanie trzeciego, wtargnął komendant ochrony.

— Kolego, już jadą — oznajmił lakonicznie, starając się nie uawniać podniecenia. Tylko stena przerzucił nerwowo z jednego ramienia na drugie.

— Ja też jadę, ale do Londynu — odparł

ze stoickim spokojem operator. — Muszę wypracać cały materiał, taki rozkaz — dodał tonem wyjaśnienia. — Powiedźcie im „Sieg heil” i cześć. A dla pewności trzymajcie szwabów na muszce. Niech pan zobaczy, co teraz robią, i da mi znać.

Po chwili komendant ochrony wrócił.

— Samochody stoją, a tamci łażą, stukają po oponach, zaglądają do silnika, że to niby defekt. Niektórzy wchodzą w krzaki — relacjonował obrazowo, a Weina pomyślał, trochę z determinacją, a trochę z nadzieją w sercu, że chyba nie jest tak źle, i nacisnął klucz. Elew, praktykant na radiooperatora, przestępował z nogi na nogę, szybko przelatywał ślinę. Strach nowicjusza walczył w nim o lepsze z podziwem dla oficera. Ten, dla odmiany, pomyślał o adepcie: „Będziesz miał, synku, dobrą lekcję pogładową”.

Węstchnienie ulgi wyrwało się z kilku piersi jednocześnie. Radiotelegrafista zakończył seans, a wtedy małymi grupkami podążyli na punkt zborny. Czekal na niego konny wóz, gumowiec, którym goście podwiezieni zostali do stacji. Stąd rozjechali się w różne strony, każdy z określoną misją do spełnienia. „Zbik” postanowił przenoćować w Legionowie, w domku przy Rynku, gdzie mieściła się cukiernia. Nazajutrz wyruszył na inspekcję rejonu Tłuszcza. Przy okazji podrzucił praktykanata na niezwykle ruchliwy punkt „Tropa”. Kiedy się spotkali, Janusz zrelacjonował dowódcy plutonu swoje barwne przygody z hitlerowcami. Pięć razy był rewidowany przez żandarmów i za każdym razem udało mu się wywinąć z pułapki.

Pod koniec lata podporucznik „Zbik” otrzymał zadanie opracowania dla KGAK wniosków i uwag do projektu instrukcji, mającej na celu ochronę radiostacji przed nieprzyjacielskim rozpoznaniem i likwidacją. Jesienią rozkaz w tej sprawie został dostarczony kurierami obszarom i okręgom:

Bridge, dnia 17/10

L. dz.: 611/V-o

Bez atu

Przesyłam rozkaz PZP nr 1085/V-o do natychmiastowego wykonania. W związku z powyższym oczekuję propozycji w dół do dnia 25 bm.

PZP

dn. 6.10.43 r.

Nr 1085/V-o

w/z Rober

4. Przy nagrywaniu i wykorzystywaniu sieci rd w obsz (okr) należy się liczyć z możliwością reakcji npla. Dla zwalczania wrogiej sobie korespondencji rd stworzył on w terenie znaczną ilość punktów podsłuchowych (z reguły w rejonach wszystkich większych miast) i wyposażył każdy z nich, poza punktem stałym (3-4 goniostacje), w pewną ilość lotnych patroli podsłuchowych dla prowadzenia obław w wyznaczonych terenach.

W akcji powyższej npl stale udoskonala meto-

dy pracy... ostatnio wprowadził nowy sprzęt, pozwalający na szybkie i pewne namierzanie grających rdstacji.

Normalna reakcja npla przeciw nowej stacji w rejonie opanowanym jego podsłuchem występuje już po 2—3 godzinach od rozpoczęcia pracy nadawczej, później coraz szybciej, nierzadko w ciągu kilkunastu minut.

Do tej pory używane były do nalotów na nasze punkty gry:

— małe zespoły podjazdowe w sile 4—5 ludzi (często w przebraniu cywilnym, zawsze z zamaskowanym konsp. sprzętem podsłuchowym) piesze lub motorowe;

— oddziały mieszane w składzie: zespół techn. 4—5 ludzi na 1 samochodzie i zespół likwidac. 30—40 żandarmów na 4—5 samochodach.

Czasami do namiarów używany był samolot, a do obław oddziały wojska (1—2 komp.).

W związku z przedstawionym wyżej systemem reakcji npla należy:

a) zwracać w terenie baczna uwagę na ścisłe przestrzeganie tajemnicy istnienia w danym rejonie rdstacji i punktów jej pracy;

b) organizować ciągłe poszukiwanie w terenie punktów i zespołów podsłuchowych npla (w wypadku stwierdzenia — likwidować);

c) organizować ochronę zapewniającą bezpieczeństwo podczas seansu — często zmieniać miejsce gry.

W terenie wolnym od podsłuchu wystarczy dla ochrony stacji nadawczej (poza częstą zmianą miejsca pracy) zasadniczo obserwacja zewnętrzna

w bezpośrednim jej pobliżu (ochrona bierna), jednak tak zorganizowana, by rdstgr był w porę uprzedzony o ewentual. grożącym niebezpieczeństwie i miał czas na usunięcie sprzętu z zagrożonego miejsca. Natomiast na terenach objętych podsłuchem npla należy zawsze wystawiać ochronę czynną (oddz. bojowy z bronią w ręku), zdolną do powstrzymania npla na czas potrzebny do zlikwidowania punktu gry — i zdolną do przebiccia się wraz ze sprzętem w razie nagłego znalezienia się w kotle. Z tego powodu oddział bojowy powinien być silnie wyposażony w broń maszynową, granaty ręczne oraz sprzęt sygnalizacyjny dla łączności wewnętrznej.

Taktyka obrony musi być dostosowana do każdorazowych warunków położenia. Trzeba się liczyć z tym, że w rejonach namierzonych przez npla czas spokojnej pracy rdstacji będzie trwał zasadniczo tylko tak długo, ile trzeba nplowi do przebycia przestrzeni dzielącej go od stacji nadawczej.

Seanse z instruktorami i seanse nadawania materiału służbowego do Centrali powinny być z reguły ubezpieczone czynnie.

Zr (-) Robak

Jesień rozplakała się ohydą pluchą. Dla radiotelegrafistów nie istniały złe pory roku ani urlopy. Podwodą konną podążał Welna do stacji Zagósciniec, aby wsiąść do pociągu w kierunku Tłuszcza. Towarzyszył mu nowo wyszkolony w tajnym ośrodku w Mińsku radiotelegrafista

„Stasio”. W wagonie odnalazła ich „Teresa”, łączniczka dowódcy kompanii. Wiozła ze sobą cały arsenał broni dla tamtejszego oddziału ochrony.

Od czasu do czasu wyglądali przez okno. Pociąg był oddalony od stacji o niespełna kilometr, kiedy zauwazyli kroczące tuż przy torze opatulone wiejskie kobiety.

— Patrzcie, bombowce — zawołał „Stasio”. Tak nazywano baby dźwigające na plecach bańki z mlekiem. Porucznikowi wydawało się, że niewiasty dają im jakieś znaki. Uchylił okno.

— Tłuszcz obstawiony! — zawołała jedna.

— Łapanka! — krzyknęła druga.

Welna nie zastanawiał się ani przez chwilę.

— Skaczemy! — rzucił rozkazująco. Przejeżdżali akurat obok sporej kępy drzew. „Stasio” odbił się, dał susa i buchnął w dąb. Poderwał się i za moment skryły go zarośla.

— Teraz ty, prędzej! — „Żbik” przynaglał łączniczkę. Ta wahała się, ociągała.

— Za nic nie skoczę — uparta się. — Nie potrafię...

Dowódca przynaglił ją ostrym tonem i wtedy skoczyła, po prostu stoczyła się na nasyp.

W chwili kiedy znaleźli się całą trójką w zaroślach, lokomotywa stanęła przy peronie. Postanowili odczekać, czas pracował dla ich bezpieczeństwa. Potem, zataczając wielkie koło, obeszli miasteczko, by wejść do niego od strony przeciwnej niż stacja. Po drodze rozpytywali o sytuację. Odgłosy łapanek wygasły, żandarmi odjechali, niektórzy udali się do restauracji na obiad. Tak

więc konspiratorzy mogli udać się na punkt kontaktowy. Tutaj już wiadano, że zatrzymanych na stacji skierowano do Treblinki.

Punkt kontaktowy mieścił się w aptece. Welna podał hasło, ale ku jego zaskoczeniu aptekarz nie zareagował, chyba nie zrozumiał, czego od niego chce. Zdażył się jednak wystraszyć. Szczęściem udało im się złapać kogoś z obstawy. „Żbik” przekazał mu „Stasia” i „Terese”, a sam udał się na poszukiwanie „Tropa”, znanego z umiejętności znikania w terenie tak, że nie mógł go znaleźć ani wróg, ani przyjaciel.

Jeszcze tego samego wieczora, tuż przed godziną policyjną, wrócił porucznik do Warszawy na umówione z Gołajskim spotkanie w parku Ujazdowskim. Podjechał tramwajem do Alei Jerozolimskich, wysiadł, postawił kołnierz cienkiej, wyleniającej jesionki i ruszył pieszo Nowym Światem. Kiedy znalazł się na Wiejskiej, kątem oka zauważył, że trotuarem po drugiej stronie ulicy podąża równolegle do niego jakiś mężczyzna w pumphach. Nagle od tyłu podjechał samochód, podobny do używanych przez gestapo, zatrzymał się tuż koło przechodnia i nim zdążył się on zorientować w sytuacji, dwie pary rąk wciągnęły go do wnętrza. Welna wydłużył krok, ale auto minęło go na pełnym gazie. Wtedy skręcił w Piękna i z miejsca natknął się na „Pajaka”. Poszli w stronę Szopena, skręcili w aleję Róż. Z przeciwnej strony podążał im na spotkanie gruby, lekko pochyłony do przodu esesman.

— A to kanalia! — szepnął Alfons.

— Kto taki?

— Gestapowiec. Zna mnie już, trzy razy mu nawiewałem. A niech to jasny gwint! Do trzech razy sztuka... Co robić?

Wełna nie był przesadny, ale tym razem opowiadało go głupie uczucie.

— Za późno. Masz broń?

— Nie mam — skrzywił się przełożony.

— Ja też nie, Alf. Może być krewa.

— No to walimy prosto na niego — zdecydował z determinacją „Pająk”.

Kiedy mijali hitlerowca, ten patrzył badawczo na... Wełnę.

— Heil Hitler — mruknął.

— A żeby cię pokreśliło — szepnął cicho radiotelegrafista. Golański odetchnął szeroko, spojrzął do tyłu. Niemiec oddalał się ulicą Piękna. Wtedy Alfons zaciągnął przyjaciela do najbliższej bramy i wręczył mu nową instrukcję, dotyczącą współpracy z terenowymi oddziałami „leśnych”. Rozeszli się, każdy na swoją melinę.

Następną wizytę w rejonie „Obroza” złożył Wełna dopiero wiosną czterdziestego czwartego roku. Jechał do Legionowa pociągami od strony Zegrza, posępny jak gradowa chmura: gestapo schwytalo „Pajaka”. Kiedy pociąg ruszył już z ostatniego przystanku, nagle gruchnęła wieść, że w Legionowie łapanka.

Trzeba skakać — zdecydował się oficer. — Jak

wtedy... — przypomniał sobie Tłuszcz. Skoczył... prosto na wystający kawałek szyny, wbity pionowo w ziemię. Pierwszy ból był tak silny, że aż go zamroczył. Kiedy próbował wstać, oblał się zimnym potem: miał rozbite, gwałtownie puchnące kolano. Rad nierad, sycząc z bólu, pokuszył się przed siebie. Okrążył Legionowo i wkroczył na parcele. Tu złapał kontakt z nowym komendantem, „Korwinem”. Po nawiązaniu znajomości i ustaleniu zasad współdziałania pieszo dotarł do Warszawy, gdzie miał umówione spotkanie z dowódcą „Iskier”. Na Pelcowiznie osiadł w tramwaju i dzięki temu niewiele się spóźnił. Już z daleka dostrzegł u zbiegu Kredytowej i placu Małachowskiego wysoką, szczupłą sylwetkę „Gryfa”.

— Uważaj pan na mnie, bo mam jesionkę znaną gestapo — ostrzegł major. Szybko uzgodnili zadania plutonu na najbliższy okres i rozstali się.

Z kolanem jak balon Wełna pojechał do domu. Tutaj spotkała go przykra niespodzianka: został wysiedlony przez Niemców z mieszkania, meble spoczywały na podwórku, żona siedziała na tobołach. Była w ciąży.

— Czy ty jesteś żonaty, czy kawaler? — przywitała go głosem, w którym zadrgał żal. Przetransportowali dobytek do brata Mieczysława. Teraz trzeba było zacząć kurować nogę w tempie przyśpieszonym.

Nim minęło trzy tygodnie, otrzymał rozkaz zorganizowania punktu gry na akowskim obszarze „Wilga”. Wybór — w porozumieniu z dowódcą

dywizji podokręgu „Rajski Ptak”, generałem Su-
szczyńskim — padł na Garwolin. „Zbik” jechał
tam, wioząc ze sobą instrukcje dla miejscowego
oddziału wojskowego i ochrony, a także dla ra-
diotelegrafisty.

Od samego początku wyprawa zapowiadała się
pechowo. Najpierw ledwo uszedł przed łapanką
na Starym Mieście. Na końcowym przystanku
EKD, przy skrzyżowaniu Nowogrodzkiej z Poz-
nańską, natknął się na patrol żandarmerii, pene-
trujący rzeczy pasażerów. Kiedy polecono i jemu
otworzyć walizkę, poczuł, że drzewieje od krzyża.
Pod warstwą jabłek i gazetą tkwiły instrukcje.
Szczęściem, łapaczom nie przyszło do głowy, że
pod „Nowym Kurierem Warszawskim”, wyscila-
jącym dno, może się coś jeszcze znajdować. Na
chwilę zamarło w nim serce. Natarczywy łomot
tłucze się o czaszkę, kiedy owłosione łapy żandarma
grzebią w owocach... W pewnym momencie
hitlerowiec oderwał się od Welny, zainteresowany
czym innym. Polak, nie czekając na zezwolenie,
zamknął wieko, uł bagaż za rączkę i spokojnie,
nie zaczepiony, poszedł swoją drogą.

Udało się — odetchnął z ulgą.

Na Ochocie znowu kontrolujący żandarmi, ale
i tych zdołał wyprowadzić w pole.

W Garwolinie drogę od stacji kolejowej do
miasta pokonał dorożką, stara drynda z wystają-
cymi z siedzenia sprężynami. Ledwie zdążył wejść
w główną ulicę, musiał zawrócić jak niepyśzny:
oddział AK „obrabiał” lokal Deutsche Post Osten.
Welna rwał przed siebie co sił w nogach; odet-
chnął dopiero w wagonie, w drodze powrotnej.

Noc spędził w Warszawie. Nazałutrz zerwał
się o świcie. Trzeba było natychmiast powtórzyć
kurs.

Przeżywał jakiś dziwny niepokój, wywołany
instrukcją, z którą się zapoznał. W tym niepośle-
dniej długości rozkazie roilo się od wariantów
i superkombinacji, jakie miały poprzedzać zdekon-
spirowanie się oddziałów na wypadek powszech-
nego powstania. Wzmoczony nasłuch, stan czuj-
ności, stan pogotowia... każda faza miała być
w swoim czasie zarządzana na piśmie, które dos-
tarczą kurierzy alarmowi, bądź za pomocą radio-
stacji i telefonu. Najpierw ze szczebla wodza na-
czelnego, potem z obszaru do okręgu, stąd znowu
ta sama kołomyjka w dół do inspektoratów i ob-
wodów, do poszczególnych radiostacji. W dodatku
stany czujności i pogotowia musiały być potwier-
dzone przez BBC według umówionych haseł.

Welna nie potrafił jakoś wyobrazić sobie reali-
zacji tego wszystkiego w skomplikowanych wa-
runkach życia okupacyjnego, pod boki potęż-
nego wroga, nawet w zmodyfikowanym planie
„Burza”.

Przeczuca nie mylili go. Już wkrótce cała ta
wymyślna konstrukcja środków i systemu łączno-
ści rozpadła się jak domek z kart.

ŚMIERĆ „KARNOTA”

Teraz wypada cofnąć się nieco i odnaleźć zagu-
bionego na obszarze „Mewa” plutonowego „Bia-
łego”. Kiedy jego dowódca doświadczał niebezpie-

cznych przygód, on przeżył najsmutniejsze z odejść — śmierć „Karnota”. Miał grać w Ładyniu, nocą wieził dla niego sprzęt z meliny na melinę. Była późna jesień, dojmujący ziąb. Noc pogodna, księżyc, Półną drogą, poprzez pogrążoną we śnie wieś, dojeżdżał „Karnot” wozem do szosy Mińsk—Stanisławów. Pech chciał, że w tym samym czasie drogą tą sunęło auto Wehrmachtu, a w nim kilku wojskowych. Zauważyli furmankę i zaczęli się na nią. Kiedy wóz na swoich ogumionych kołach wtoczył się na szosę, rozległy się groźne, natarciwe okrzyki:

— Halt!

— Hände hoch!

Podchorąży był chłopcem bojowym i z miejsca zaczął strzelać ze swego colta. Zeskoczył i puścił się w stronę bliskiego plotu. Niestety — gdy już siedział okrakiem na parkanie i za chwilę miał zniknąć z oczu napastnikom, skosiła go seria z peemu. Tak już pozostał na sztachetach, głową w dół, zaczepiony ubraniem.

Woznica został ostrzelony w rękę. Koń, trącony pociskiem w zad, zaczął przenikliwie, szarpnął dyszlem i — oszalały ze strachu — pędził na oślep z rozwianą grzywą i rozdętymi chrzypkami. Zanim się hitlerowcy połapali w zmienionej sytuacji, woznica zostawił pojazd i uciekł z radiostacją. Auto puściło się w pogoń za wehikułem. Dopadli, zastrzelili walacha, wóz rozebrali, oczywiście nic nie znajdując.

Młósza podążał następnego dnia tą samą drogą, nic nie wiedząc o tragedii, jaka wydarzyła się w nocy. W pewnej chwili minęło go niemieckie

auto pelengacyjne. Sierżant poczuł przypływ złotej radości.

— Jedź, wal, ciągnij się na złamanie anteny — mruczał przekornie. Wiedział, że był na ob-szarze „Mewa” zdemaskowany, ale przez swoich, nie przez Niemców. Nie peszyła go ta cicha popularność wśród rodaków, wierzył w swoją szczepiłą gwiazdę.

Przecinając szachownicę pól, spostrzegł zgietą w pasie kobietę, kopiącą kartofle. Zdumiał się: zaczęła mu dawać znaki ręką. Zaintrygowany zeskoczył z roweru, podszedł, pozdrowił.

— Panie, jeden zabity, tylu tu Niemców! Niech pan ucieka!

Zrozumiał, że znalazł się w strefie zagrożonej. Zawrócił welocyped i mocniej nacisnął pedały. Podążał teraz ku zapasowej melinie. Tutaj odszukał go łącznik z materiałem do gry. Odnalazła się też „Nelka”. Nie nadużywano jego cierpliwości, powiedziano o „Karnocie”.

Tłumiąc rozpacz po utraconym na zawsze towarzyszowi broni i przyjacielu, „Biały” z pasją wyrabiał korespondencję na tym rezerwowym punkcie. Nawet nie zauważył, jak najzupełniej mimochodem, z głębi serca, zanucił cichutko fragment swojej ulubionej piosenki:

*Na tej maszynie gram jak artysta,
Sygnały sypią się jak grad,
Bo na minutę wysyłam trzysta...*

Zadumany, odrobinę roztrzęsiony, w pierwszej chwili nie wyczuł, że naraz trzykrotnie k jego

kolegi ze Stanmore zabrzmiało w uchu jakimś fałszywym odcieniem tonu. Z miejsca oprzytomniał.

— A to przekłeci szkopi, podszywają się pod „Martę” — zawrzał w nim gniew. Zaczął bombardować eter literą u, ~~u~~ dostał właściwego korespondenta.

Spał w ubraniu na innej melinie w tej samej wsi. Nagle, tuż nad ranem, obudziła go ostra świadomość grożącego niebezpieczeństwa. Pospiesznie opuścił kwaterę.

Później dowiedział się, że jakieś podejrzone typy rozpytywały o niego, podając dość dokładny rysopis. Dało mu to wiele do myślenia. Nieraz już spotykał na swych drogach różne osobliwie wyglądające figury. Raz był to ślepy dziad-włóczęga, to znowu ksiądz albo stara baba. Dziwnym trafem instynkt mu podszepnął, że była to zawsze jedna i ta sama osoba...

KONTREDANS PRZED GODZINĄ „W”

Niemcy szczególnie zawzięli się na „Białego”. Początkowo byli święcie przekonani, że to tylko „Żbik” zmienił pseudonim na „Kieł”. Prędko jednak poznali swój błąd i z całą zajądłością zaczęli tropić nowego wirtuoza na klucz nadawczy. Zawziętości dodawała złość, że tamten, na którego polowali tyle czasu, zniknął im z horyzontu. Co prawda jego osobiste cechy nadawania mieli namierzone w centrum i odkryli, że znowu grąsował to tu, to tam, ale teraz nie stał im tak

sztyletem w sercu jak ten nowy as. Przeszła zima, nadeszła piata wiosna wojny, a w warszawskich ośrodkach kontrwywiadu wściekano się na tyleż nieustraszonego, co i przebiegłego radiotelegrafistę. Hitlerowscy spece do walki z dywersją łamali sobie na nim zęby. Szef stołecznego gestapo Hans Transfeld oraz podlegli mu komisarze Bruckner i Nicolaus z wściekłością poruszali sprzętyny, żeby tylko złowić „bezczelnego ptaszka”. Już dawno domyślili się, że jest on głównym ogniwem łączności między Warszawą i Londynem. Nawet szef kontrwywiadu na GG, mjr Fabian, pseudo dr Scholz alias dr Christopeyeff, rezydujący stale we Wrocławiu na pierwszym piętrze posesji na rogu Borsigstrasse i Hansastrasse, raczył wyrazić swoje niezadowolenie ze zbyt szerokiej, jego zdaniem, działalności podziemnych radiostacji. Gęściej rozlokowano wyszkolone oddziały pelengacyjne, zwiększając równocześnie ich liczebność.

Jakże doskonale znali Miłosza hitlerowcy, choć nigdy go z bliska nie widzieli. Mogli już ustalić jego obyczaje, nawet z grubsza odtworzyć wygląd. Dokładnie spenetrowali rejon gry Polaka. Widocznie wzbudzał szacunek, skoro — o dziwo! — zamiast mówić o nim „polski bandyta”, ochrzczili go mianem „Nieuchwytny Bies”. Niewielu zapewne walczących z Hitlerem radiooperatorów, od Wołgi po Pireneje, wydało taką masę materiału, tyle tysięcy depech, ile ten niewysoki blondyn o wyostrzonych do granic perfekcji zmysłach. Już Niemcy wycofywali się z jego terenów, a on ciągle grał, często tuż przy szosach, którymi przewa-

lały się w „planowym odwrócie” hitlerowskie hordy. W tak nie sprzyjających warunkach zdołał osiągnąć swoisty rekord: 3000 grup wyrazów podczas jednego półtoragodzinnego seansu. Dawno wręczono mu Krzyż Walecznych za pierwsze dziesięć tysięcy grup. Już i pociągi przestały kursować w kierunku Warszawy, a łącznicy docierali do „Białego” z pilnym, bezcennej wartości materiałem do nadania. Wiedzano, że on nie zawiedzie pokładanych w nim nadziei.

Żył w nieustannym ruchu. Przemierzał łąki, lasy i pola, sypiał w sianie i — bywało — na gołej ziemi. Raz oblawa z psami zapędziła go w bagno, gdzie stał przez całą noc, szczękając zębami z zimna i klnąc mgłę, przez którą nie udało mu się ominąć tych mokradeł. Mimo to nie było wypadku, żeby Londyn na próżno oczekiwał jego zgłoszenia się. Pociski nieraz świstały mu nad głową, czołgał się i uciekał co sił w nogach, to znowu maszerował prosto na żandarmów, raz z tupetem, innym razem z miną skromnisia.

Wysiadłszy z kolejki radzyńskiej Welna podążył w stronę ulicy Wielkiej, na spotkanie z „Frankiem”. Mieli podjąć decyzję w sprawie ewentualnego wycofania Miłosza z zagrożonej strefy. Zaczynała się dopiero trzecia dekada kwietnia, ale upał trudny był do zniesienia. Warszawa tonęła w morzu hitlerowskich flag. Gazeciarz w krótkich spodenkach i cyklistówce na bakier mrugnął do porucznika, ten odpowiedział mu uśmie-

chem. No tak, to przecież z okazji uświetnionego bombowym zamachem geburtstagu fuhrera ta cała pompa! Z wystawionych w witrynach sklepów portretów wodza spoglądały na przechodniów oczy bankruta. Na nie dęcie w traby i bicie w werble; te z pozoru imponujące capstrzyki to tylko blichtr...

„Żbik” miał jednak ważniejsze sprawy na głowie. Polowanie na „Białego” poważnie zaniepokoiło nie tylko jego, ale również wyższe dowództwo. Postanowiono zdjąć z niego nieco odium zapalczywości hitlerowców i zwrócić ich uwagę na inny, fałszywy tor. Punktowi gry w Otwocku, obsługiwanemu przez zastępcę dowódcy plutonu „Teofila”, nadano fikcyjny charakter. Odtąd baza ta służyła na wabia dla Niemców. Jej seanse były ściśle koordynowane z grą „Białego”. W chwili gdy „Biały” rozpoczynał korespondencję, Otwock emitował zaszyfrowane fikcyjne telegramy. W ten sposób odciągano uwagę Niemców od mińskiego wirtuoza, który w tym czasie robił swoje.

Hitlerowcy niejednemu raz dali się nabrać na ten kawał. Zdarzyło się, że przyjechali do Otwocka, nad sam brzeg rzeki, zawrócili i odjechali. Innego dnia wdarli się na sam punkt, usytuowany na łasze rzecznej, ale „Teofil” i obstawa zdążyli się wycofać z odbezpieczoną bronią w rękę. Z żandarmerią było paru gestapowców po cywilnemu, najwidoczniej przyjechali na pewniaka. Spodziewali się pochwycić „Nieuchwytnego Biesa”, on tymczasem spokojnie nadawał w lasach pod Dębem Wielkim. Za trzecim razem doszło

w Otwocku do ostrej strzelaniny. W kilka dni później zwałił się na bazę cały sznur samochodów z wojskiem, ale i tym razem konspiratorzy zdołali zbiec.

Ta seria podjazdów dojadła kierownictwu okręgu do żywego. Kiedy więc następnym razem żandarmi wracali do Warszawy, na peryferiach Otwocka urządzono zasadzkę. Przecignięto w poprzek drogi linkę stalową zamierzając tym sposobem zmusić auta, by zjechały do rowu, gdzie miały zostać obrzucone granatami i ostrzelane. Pech chciał, że na czele kolumny ukazał się wóz wracającego do stolicy dyplomaty japońskiego, i to on zjechał do rowu. Niemcy dostrzegłi manewr i uciekli, korzystając z zerwanej przeszkody i zamieszania.

Wróg wzmógł czujność. Na trop radiostacji skierowano całą czeredę szpiclów, skompletowanych z volksdeutscheów bądź z ludności pochodzenia niemieckiego. Konfidenci przebiegali się za chłopów, żebraków, a nieraz udawali partyzantów.

Pewnego razu Miłosz grał w jednej z wiejskich chałup leżących na uboczu. Wyczuwając, że jest namierzany, przeniósł aparaturę do pobliskiego lasu. Wkrótce potem u gospodarza zjawił się obcy mężczyzna i podając się za „Leliwę” z sąsiedniego oddziału AK rozpytywał o tutejszą obstawę radiostacji. Kiedy wrócił radiotelegrafista z ochroną, gościa już nie było. Po sprawdzeniu oka-

zało się, że w całym powiecie nie ma nikogo o takim pseudonimie. Pogoń za szpiegiem zakończyła się fiaskiem.

Wodwet za akcję konfidencką chroniące aparatów oddziały organizowały własną sieć informatorów, którzy ostrzegali o wszelkich ruchach wroga.

Mimo tych środków ostrożności było tajemnicą poliszynela, że w żadnej służbie nie doliczono się tylu wypadków i ofiar co wśród radiooperatorów. Takich szczęściarzy jak Miłosz czy Welna było niewielu. Ten ostatni pomyślał nawet nieśmiało, że cena, jaką płać żołnierze jego specjalności, jest może niewspółmiernie wysoka do uzyskanych efektów i że ten permanentny alarm drogo ich kosztuje. Cóż dopiero mówić o sieci radiostacji prowincjonalnych, z którymi współpracowała druga kompania „Kram”, także „Iskrowcy”. Tam liczba wypadków rosła zastraszająco. Teraz jednak wysuwał w duchu kontrargumenty, że „naczałstwo lutsze znajet” i że tak widocznie musi być. Do niego należy słuchać, inni rozkazują, jak wojsko to wojsko. Ta ofiara krwi, złożona w ofierze ojczyźnie, nie pójdzie przecież na marne.

W miarę jak Armia Radziecka, a u jej boku 1 armia Wojska Polskiego coraz wyraźniej celowały na kierunek warszawski, do uszu podporucznika Welny dochodziły słuchy o zarządzeniu powstania. Padł nawet termin: 25 lipca. Zabiło mu serce od dawna zapomnianym rytmem. No,

nareszcie złapiemy się z wami, szubrawcy, dosuniemy wam tak, że się wasz Wiluś w grobie przewróci — pomyślał z błyskiem w oczach. Kiedy jednak opadł w nim pierwszy zapal, przyszły refleksje. Już dwudziestego piątego? Niemożliwe... — pomyślał. — Przecież „Franek” nie o tym nie wie. A jak można robić powstanie, kiedy radiostacje na prowincji? Spec w tych sprawach, doskonale rozumiał, że bez sprawnej łączności można się tylko bawić w wojnę na piasku, ale nie walczyć z niemiecką organizacją militarną.

Tak więc jedynym źródłem informacji „Żbika” była plotka. A właściwie przecieki o treści depechy nadanej przez jego pluton, w której „Lawina”, czyli Bór-Komorowski, zawiadamiał sztab londyński, że wydał rozkaz czujności do powstania z dniem 25 lipca o godzinie 0.01.

Jednak oznaczony dzień minął spokojnie. Dopiero nazajutrz major „Gryf” dostał rozkaz ściągnięcia do stolicy niektórych radiostacji i nie omieszczał przekazać go dowódcy „Orbisu”. Teraz szeptano o pierwszym sierpnia jako dniu godziny „W”. Kapitan „Franek” ogłosił ostry alarm dla obu plutonów operacyjnych — nadawczego i odbiorczego — oraz dla drużyny skoczaków-radiotelegrafistów. Teraz już cały „Orbis” czuł, że nadszedł czas rozrachunku ze śmiertelnym wrogiem.

Z grypsów „Żbik” dowiedział się, że „Pająk” i „Wiesław” zostali wywiezieni ostatnim transportem z Pawiaka do Gross-Rosen. Tego samego dnia generał Bór, nie licząc się ani z sytuacją polityczną, ani z trudnościami organizacyjnymi, de-

peszował o przysianie do Warszawy brygady spadochronowej.

Wielką ze złościwą satysfakcją obserwował gorączkowy ruch w niemieckich instytucjach i dzielnicach mieszkalnych. Ładowano na auta meble i akta. Lotem błyskawicy rozeszła się wieść o ewakuacji hitlerowców. Całe miasto cieszyło się, warszawiacy nie kryli radości, nastrój podnosił się, atmosfera mogła łatwo ulec podminowaniu, wystarczyłada iskra. Już, już porucznikowi wydawało się, że ulica podniesie wrzask: „Bić szkopów! Rozbrajać!”

Tymczasem rozkaz komendy głównej zabił mu nie lada świeka. Garwolin to już prawie front, odpada — stwierdził definitywnie. — Z tych samych powodów nie da się wycofać aparatury z Mińska i Otwocka. Rosjanie i Polskie Wojsko oswobodzili Lublin i szybko posuwają się ku Warszawie. Baza techniczna punktu gry w Legionowie specjalnym rozkazem KG ma przejść do dyspozycji dywizji okręgu. Co robić?

Cóż za radość! Na punkcie kontaktowym „Franka” nastąpiło spotkanie porucznika z Miłoszem. Bo „Biały” dostał rozkaz stawienia się w stolicy na ten dzień, 28 lipca. Uradowany „Żbik” postanowił zabrać sierżanta i łączniczkę „Grażynę” na wyprawę do Radzymina. Doszedł do wniosku, że tylko radiostacje z tamtego rejonu są jeszcze osiągalne. Sieć na zachód od Warszawy pozostał na miejscu, gdyż tam mogły jeszcze pracować zakspirowane. Tylko „Nelka” z brwińskiej studni znalazła się w bezpiecznej melinie.

— Tak, jedyna nadzieja w „Łaziku” — utwierdził się w tym przekonaniu.

Podjęli zółd, który wypłacono im w pięćsetkach — „góralach”, i pojechali na stację wąskotorówki. W wagonie ciuchci tylko „Grażyna” zachowała wrodzoną flegmę. Obaj mężczyźni byli szczerze zatroskani. Zbyt duży rozgardiasz zaplanował w służbie łączności. Nawet „Franek” nie orientował się w bliższych planach sztabu dowodzenia.

— Ach, nasermater! — machnął ręką zdesperowany Welna. — Jak się trzeba będzie bić, to zmontujemy własną radiostację, wyciągniemy choćby spod ziemi.

Kiedy dotarli na miejsce, był już późny wieczór. Przez dobrą godzinę bezskutecznie poszukiwali Janusza i meliny, w której przechowywano aparat. Zniechęcony „Zbik” zamierzał już dać sygnał odwrotu, kiedy przypadek pomógł im odnaleźć radiostację, ukrytą w stodole zaufanego gospodarza, pod snopkiem słomy. W pobliżu buszowali własowcy, więc windykację sprzętu odložyli do pory nocnej. Udaną misję postanowiono „oblać” w mieszkaniu Welnów, ku radości pani domu, rzadko widującej męża. Zjawił się też „Trop”.

Nalot samolotów radzieckich na wiadukt kolejowy wypędził ich z ciepłych legowisk. Atramentowofioletową noc przecinały pęczki rozrywających się pocisków artylerii przeciwlotniczej. Bombardowano też stację, Zenitówki szczekały jak rozwścieczone psy. Migotały smugi reflektorów,

próbujących złapać w swe świetlne macki samolot.

O zmrużeniu oka nie było mowy. Nadszedł niedzielny ranek, 29 lipca. Zabrali aparaty i razem z „Łazikiem” odjechali ostatnią kolejką, jaka czasu wojny kursowała na tej trasie. Za nimi czolgi radzieckie przecięły tor kolejowy w Strudze. Radiostacje, dwie bezcenne „Nelki”, jechały w parowozie, maszynista był w znowie.

Miłosz i Janusz z aparatami zaraz powędrowali na Hipoteczną, a Welna udał się do kapitana Jedlińskiego na Wielką. Niestety, tego dnia już go nie zastał. Spotkali się w poniedziałek Zdenierwowany „Franek” krążył między miejscem ich spotkania a meliną dowodzenia batalionem.

— Dostaniesz dyspozycje bezpośrednio od pułkownika „Orta”, to zastępca dowódcy wojsk łączności — kapitan przeszedł od razu do rzeczy. — Znajdziesz go wraz z zastępcą szefa batalionu, „Korałem”, w szpitalu imienia Karola i Marii na Woli.

— Rozkaz — wyprężył się służbiście podporucznik, czując wyraźnie, że zapachniało walką, że zaraz coś się zacznie.

— Nie pajacuj — zachnął się dowódca. — No, czas nam się pożegnać. Kto wie, kiedy się znowu zobaczymy. Tak, tak... — Na pytające spojrzenie „Zbika” zadrżał mu krótko przyszyty wąsik. — Nie powinienem ci tego mówić, bo to tajemnica wojskowa... At, pal to licho... Dostałem rozumiesz, specjalne zadanie. Mam zorganizować radio dla naszych oddziałów w Kampinosie. Na-

czelne dowództwo chce mieć niezawodną łączność z oddziałami majora „Szymona”. Nie wiadomo, co się może zdarzyć: Warszawa będzie się wycofywać do puszczy czy Kampinos podąży na odsiecz miastu. Wszystko możliwe.

Wełna zdążył ochłonać z zaskoczenia, wywołałego niezwykle, jak dla niego, rozkazami.

— Gdybyś wziął ze sobą szyfry, to i z Londynem łatwiej ci będzie grać niż nam tutaj. Cholera wie, gdzie wyładujemy...

— Są tu, zaszyte — „Franek” uderzył się po klapie frencza. — No, bywaj, stary druhu. Wytluczemy tę swastykowską zarazę, cholera, i znów będziemy razem. — W głosie kapitana dało się zauważyć skrywane zdenerwowanie.

Pojechał tramwajem z przesiadką i szczęśliwie dotarł do szpitala. Spotkanie było wyznaczone u ogrodnika.

Mistrz gracy i sekatora zrobił wielkie oczy.

— Panie — podniósł głos, ale momentalnie ściszył go, jakby zobaczył coś lub kogoś podejrzanego. — Jedź pan do cholery stąd, bo tu niewyrazna sprawa...

Tramwaj sunął wolno, aż stanął, motorniczy polecił wszystkim wysiąść. Rzeczywiście, coś się tu święci — pomyślał Wełna. Ulica Wolską w kierunku zachodnim pędziło kilka aut wypełnionych żołnierzami. Czyżby i wojsko już wiało? — wypełnił go zachwyt.

Na Wielkiej nie zastał żywej duszy. Było już bardzo późno. Zły, niespokojny z powodu niewy-

konania rozkazu, położył się w ubraniu na kozetce.

Skoro świt zdecydował się iść na punkt kontaktowy, mieszczący się przy ulicy Moniuszki 2, w mieszkaniu rodziców „Grażyny”. Na przeciwnym narożnym domu wisiał świeżo naklejony przez władze okupacyjne plakat. Nagle wyskoczył jak spod ziemi szesnastoletni może chłopak i niewiele myśląc, chwycił ogłoszenie od góry i jednym szarpnięciem zdarł z muru.

— Przeszkadzał ci ten afisz?

Porucznik drgnął i zatrzymał się. Andrusiak, istny Król Maniusz Cwańszy, obrócił się flegmatycznie. Za nim stał „granatowy”, który przed chwilą wyszedł z bramy. Złapał chłopca za kołnierz marynarki.

— Papier mi był potrzebny — wyrostek roześmiał się dobrodusznie. — Akurat szukałem miejsca, gdzie führer piechotą chodzi.

Policjant wyciągnął rewolwer i głową wskazał tamtemu kierunek marszu. Mały zrobił dziecinnie naiwną minę.

— Panie władzo, a dokąd pójdziemy? Gestapo czy komisariat?

„Władza” splunął z hałasem.

— Poczekaj, łobuzie, zaraz cienko zaśpiewasz.

— Chcesz pan? — ucieszył się ulicznik. — Sie robi. — I zapiał dziecinnym falsetem:

*Jeszcze Polska nie zginęła,
Póki Bóg nad nami,
Jeszcze Hitler będzie dyndał
Do góry nogami.*

Kiedy tak szli w stronę Świętokrzyskiej, w Welnie rozbawienie walczyło o lepsze z niepokojem o losy odważnego warszawiaka.

W chwili kiedy wchodził do właściwej bramy, rozpetala się nagle strzelanina. O dom piasnęły pociski. Ale prawie natychmiast zaległa cisza.

Czyżby powstanie się rozpoczęło? — pomyślał Welna, tężąc wewnątrz. — Nie, chyba jeszcze nie czas...

Był świadkiem jakiejś przedwstępnej, lokalnej pukaniny.

Miłosz z „Łazikiem” podjechali do placu Bankowego tramwajem. Tutaj zaskoczyła ich atmosfera dziwnie napięta, jakby ogłoszono stan wojenny. Wyloty ulic zamykały silne oddziały żandarmerii i Wehrmachtu. Brama pozamykana, zatrzaśnięta, pokazywała złe oczy wrogom, ale i nie dawała schronienia swoim. Na całym ogromnym placu wiało niesamowitą pustką, tym dziwniej odbijali od niej dwaj „zabłakani przechodnie”. Jedyńi w całej okolicy.

Miłosz zdrewniał.

Wpadliśmy... Tak głupio... — Ciarki kłuły mu natrętnie plecy. W jednej sekundzie całe życie przesunęło się przed oczami, jak film w przyspieszonym tempie. Ukryta broń parzyła bezlitośnie, podobnie jak owinięta sznurkiem paczka z „Nellką”. Nagle niewytłumaczalny impuls pchnął go do przodu, w Bielańską, prosto na hitlerowców, stojących jak posągi z bronią nastawioną do strzału.

— Czy można przejść? — zapytał po niemiecku.
— Ja, los! — warknął tegi podoficer i obrzucił go lekceważącym spojrzeniem.

Kroczył środkiem ulicy, nie oglądając się, i czekał, kiedy dostanie serię z berzmana w plecy. Skreślił lunatycznie w Daniłowiczowską i zerknął z ukosa do tyłu. Janusz wszedł za nim do najbliższej bramy.

— Ja nie, tylko patrzę, co pan robi, i myślę sobie: a niech tam, będę naśladował dokładnie jego ruchy — „Łazik” nie mógł otrząsnąć się z wrażenia. — Ale ma pan nerwy... Jak postronki...

Tymczasem powód blokady tej części dzielnicy był całkiem zwyczajny — Niemcy wywozili z banku pieniądze, chcieli się zabezpieczyć przed ewentualną akcją podziemia.

— Jeden nierozważny ruch i byłoby po nas — zakończył rzecz „Biały”. Zakolatał do bramy.

— Czego? — zapytało podejrzliwe oko w „judaszu”.

Przekazali radiostację łącznikowi organizacji, który miał już w tej mierze odpowiednie rozkazy i wiedział, dokąd przenieść sprzęt. Następnie wrócili na punkt dowodzenia kompanii.

Pierwszego sierpnia sierżant „Biały” znalazł się, podobnie jak jego przełożony, w mieszkaniu „Grażyny”. Stolica rozgrzewała się, dygotała wzruszeniem, może tego jedyne dnia do godzin popołudniowych nie cierpiała. Jedyne od blisko pięciu lat.

To były ostatnie chwile przed godziną „W”.

W mieszkaniu inżynierostwa, rodziców łączniczki, prócz „Grazyny” i jej ojca zastali Krzesławskiego, dowódcę oddziału nasłuchu odbioru radiowego na sieci alarmowej, któremu towarzyszył podkomendny Wiśniewski-„Prusak”. Obaj wywodzili się, jak Miłosz, z dawnego CBO.

— Ty też jesteś bandit? — zdziwił się uprzedmie porucznik Krzesławski na widok „Białego”. Nic o sobie nie wiedząc, służyli w tej samej kompanii.

Trójka łącznościowców patrzyła na siebie ze wzruszeniem. To był kwiat CBO, mieli reputację najlepszych radiotelegrafistów w Polsce: brali same pierwsze lokaty i nagrody na konkursach. Skupieni, raczej zamknięci w sobie, w przewidywaniu ważnych, niezwykłych zdarzeń, wymieniali półgłosem krótkie zdania. Ale dla „Prusaka”, który w pewnej chwili zaczął majstrować przy małym „Radio-Union”, nawet szeptu stanowiły hałas.

— Pssst... — uciszał zebranych. — Mam dla was coś ciekawego. Nadają z Lublina tekst manifestu. „Rodacy! Wybiła godzina wyzwolenia. Nad umęczoną...”

— Możesz się nie wysilać — przerwał mu jego dowódca. — Znam to. Macie, czytajcie — wyciągnął z kieszeni druk w formie ulotki. Brali niby to ociągając się, w gruncie rzeczy z chciwą ciekawością.

— O dobiegu wroga dobrze mówią — wtrącił niepewnie Wełna. — Mnie tam o politykę nie

chodzi, ale o to, żebym dożył dnia, kiedy Hitlera będą obwozić w klatce.

Krzesławski zamyślił się.

— Są już blisko...

— Grunt, żeby nam łączność grała, to sami damy radę szkopom i wyzwolimy się — rzekł pogodnie Miłosz. — W razie czego sprzęt przysła Anglicy.

Krzesławski i „Prusak” pożegnali się i wyszli. Mieli rozkaz udać się na punkt służbowy.

— Był łącznik od „Gryfa” — powiedziała dziewczyna. — Pan „Biały” ma się udać na Dzielną, do fabryki Kamlera. Zaraz przyjdzie strażak i zaprowadzi tam pana sierżanta.

Nim minął kwadrans, rzeczywiście zjawiał się wysoki gość w pełnym umundurowaniu. Na głowie miał helm strażacki, w dłoni topór. Miłosz pożegnał się z porucznikiem i wyszli. W stronę Muranowa przebiegali się dość swobodnie. Niewiele było oznak zbliżającej się burzy. Dopiero na Dzielnej, kiedy ruszyli w stronę Pawiaka, uderzyły ich w oczy rozstawione co kilkanaście metrów bunkry strzeleckie. Obok każdego uzbrojeni Niemcy. Zdrada? — pomyślał niepewnie radiotelegrafista. Nie uspokoił się nawet wtedy, kiedy strażak zadzwonił przy bramie fabryki Kamlera. Wyszli dozorca z siwym włosom i sumiastym wąsem, wymienili hasła. Gestem zapraszającym stary wskazał wewnątrz obiektu. Weszli, zamknęły się za nimi wrota.

Miłosz ciągle nie mógł wyjść ze stanu zdziwienia. Na podwórku powstańcze wojsko w bia-

ło-czerwonych opaskach, a tuż pod bokiem Pa-wiak, silnie obsadzony wojskiem, no i te bunk-ry... Ale nie miał czasu na refleksje, bo wprowadzono go do sali, w której obradował sztab powstania. Zameldował swoje przybycie, a potem znalazł się w sąsiednim pomieszczeniu, gdzie stały maszyny stolarskie do wyrobu mebli. W kącie siedział przy radiu... przyjaciel Miłosza z CBO, nazwiskiem Kowalski, i brał materiał z nasłuchu.

— Jak Boga kocham, to ty?

— To ty? Żyjesz jeszcze...

Takie było ich powitanie. Bez liryki. Tyle że mocno uściśnęli sobie dłonie.

Jedna „Nelka” była już dostarczona na punkt i „Biały” z miejsca zabrał się do nawiązywania łączności z „Martą”. Ściągnęła mu się twarz. Zdumiony, zaskoczony, głowił się, dlaczego Londyn nie odpowiada. Teraz, kiedy jestem najpotrzebniejszy, mój aparat milczy — pomyślał z żalem, nieco zmieszany. Antena była mała, bardzo słaba, nic z nią nie wychodziło.

— Żeby tak można było wyrzucić drut za okno — westchnął.

— Ba, żeby... Żeby ciocia miała wasy, to by była antena — roześmiał się Kowalski.

Tak, Miłosz rozumiał, że nie wolno im ciągnąć przewodu na zewnątrz. Niemcy mieli lornetki. Nie wolno się dekonspirować, chodzilo o bezpieczeństwo Komendy Głównej. Na jej wspomnienie sierżant zrobił się purpurowy. Co też powie o nim dowództwo... Najlepszy radio-telegrafista i taki niewypał...

Major „Gryf”, szef łączności kwatery głównej, raz po raz zachodził, rzucał stereotypowe „No, jak tam?” i za każdym razem wracał do sztabu z niczym.

Po południu zjawił się ściągnięty w ostatniej chwili z Otwocka radiotechnik „Teofil”. Welna i Miłosz nieraz o nim myśleli, że ten znany z szalonej odwagi ryzykant byłby doskonałym nabytkiem dla Kedywu. Widząc kłopoty z anteną, technik chwycił drut i niewiele myśląc, zabierał się do otwierania okna. Ledwie mu to wyperswadowali.

Dokładnie w tym samym czasie brama sąsiadującej z nimi posesji została otwarta i do środka wjechała ogromna ciężarówka. Niemcy mieli tam wielkie magazyny odzieży zimowej dla Wehrmachtu. Ze względu na konieczność utrzymania konspiracji, aż do godziny „W” pozwolono im wywozić towar, tuż pod bokiem zamaskowanych posterunków AK. Zgodnie z decyzją naczelnego dowództwa miało to być ostatnie auto wypuszczone bez ostrzelania.

W chwili kiedy załadowany samochód wyjeżdżał z bramy, jeden z eskortujących go żołnierzy dostrzegł we wnętrzu uzbrojonego cywila i narobił wrzasku. Młodzi powstańcy, nie mogąc utrzymać nerwów na wodzy, puszczili serie i trafili. Śmiertelnie ranny Niemiec spadł z wozu na bruk. Natychmiast bunkry wroga rozdzwoniły się ogniem, druga strona odpowiedziała przeciągłą kanonadą. Tak wybuchło powstanie. Samorzutnie rozpoczęta walka o godzinę wyprzedziła oficjalny rozkaz.

Mżył drobny deszcz, jakby niebo zapłakało nad miastem.

Kiedy się zaczęło, do Miłosza podszedł starszy wiekiem pułkownik. Spoglądał przyjaźnie swoim jedynym okiem i zapytał operatora, czy ma broń. Usłyszawszy odpowiedź przeczącą, wręczył mu rewolwer i dwa granaty.

Atmosfera i styl bycia w siedzibie dowództwa uległy radykalnej zmianie. Kowalski chwycił radiostację londyńskie już nie w przyczajonej cieszności, ale używał sobie w głos, zarówno na brytyjskich nadajnikach, jak i na hitlerowcach.

Do sali wpadł przez okno granat. Leci, syczy... Porucznik „Stolarz”, dowódca ochrony Komendanta głównego, tegi, ołbrzymi mężczyzna w siłę wieku, nie spieszył się tym widokiem. W momencie kiedy granat zderzył się z podłogą, chwycił go i odrzucił tą samą drogą, skąd nadleciał. W sekundę później granat rozerwał się na zewnątrz.

Tymczasem powstańcy pułkownika „Radosława” zdobyli i rozwalili dwa bunkry w pobliżu więzienia, po czym rzucili się do szturmowania umocnienia w Monopolu Tytoniowym.

Przez cały czas trwania walki Miłosz przeżywał przy swoim aparacie istne katusze. Stanmore nie zgłaszało się. Zniecierpliwiło to najwidoczniej wodzów powstania, bo na salę operacyjną wszedł sam Tadeusz Bór-Komorowski. „Biały” wyprostował się, zameldował. Patrzył na tego niskiego, niepozornego człowieka w cywilnym ubraniu, o nic nie mówiącej, bezbarwnej twarzy, z której trudno było cokolwiek wyczytać. Tylko wydatny nos sterczał w niej, jakby deformując oblicze

tego człowieka, w którego reku los i klasy schodzące z areny, a czepiające się kurczowo władzy, skupiły prawo decydowania o losach półtoramilionowego miasta.

— Kto nie ma łączności, musi przegrać.

Słowa te były wypowiedziane tonem beznamiętnym i Miłosz nie wiedział, co nurtuje naczelnego. Strach przed klęską czy subtelnie wyrażony nakaz: — Muszę mieć natychmiast łączność z generałem Sosnkowskim. To drugie radiotelegraficznie, który był zdyscyplinowanym i ofiarnym żołnierzem, a w dodatku niepoprawnym optymistą, bardziej odpowiadało aniżeli widmo porażki.

— Postaram się — powiedział z mocą. Głęboko zapadnięte oczy świeciły mu się jak u głodnego wilka. Generał kiwnął głową i wyszedł bez słowa, a Miłosz rzucił się do „Nelki”. Trwał przy niej całą noc, zapadał w stany półsenne, wystukiwał swój sygnał — nadaremnie. Powieki ciążyły mu jak ołów, kleiły się ze zmęczenia.

— Już mi ręce opadają, ledwie żyję — poskarżył się drżemiącemu z jednym okiem otwartym „Malcowi”-Kowalskiemu. — Co począć?

Świadomość pracowała gorączkowo, by znowu ustąpić miejsca ośpieniu. Zbliżało się południe, a on tkwił przy aparacie, ciągle w tej samej pozycji, pochylony.

— Wełgź się tu męczysz, w tej budzie?!

Drgnął i spojrział za siebie. Był to „Teofil”.

— Przerzecz do naglej śmierci Hitlera, już wzięliśmy z konspiracji! Chodź, „Biały”, poprobuje-
ny gdzieś na podwórzu.

Zaczęli się rozglądać za odpowiednim miejscem.
— Ta szopa będzie w sam raz — radiotelegrafista wskazał obszerną budę z desek, przylutowaną do wysokiego płotu. Antenę rozwiesili między budynkiem i pobliskim drzewem, po czym operator z miejsca przystąpił do wystukiwania sygnałów.

Wydawało mu się, że śni.

— Jest! Mam. Mam go! — zawołał ochrypłym głosem. Gorączkowo wydał dwa, oznaczone jako najpilniejsze, telegramy. Jeden był do naczelnego wodza, drugi do premiera polskiego rządu w Londynie. Pierwszy brzmiał: *Podjęliśmy walkę o godzinie 17 dnia 1.VIII. Dajcie pilnie amunicję i broń przeciwpancerną...* Dalej określono miejsce rzutów. Druga depesza prosiła o spowodowanie pomocy radzieckiej przez uderzenie z zewnątrz.

Historia dopisała komentarz-pytanie do obu radiogramów. Dlaczego nie zażądano amunicji przed wybuchem walki? Dlaczego nie przeszmuglowano jej wreszcie z terenów zawarszawskich? Dlaczego dowództwo AK nie zwróciło się wprost do Armii Radzieckiej, a prosiło o to rząd emigracyjny? Dlaczego wybuch powstania zaskoczył samych powstańców i ludność? Dlaczego, dlaczego, dlaczego...

Radiotelegrafiści kwatery głównej nie zadawali sobie wówczas takich pytań. Nie mieli na to czasu. Nie widzieli zresztą sensu w roztrząsaniu tych zawilonych spraw w chwili, kiedy już się zaczęło, a od łączności mogło zależeć wszystko. Pozostała walka. Kompania „Orbis” była na pierwszej linii.

Gdy Miłosz ochłonął z radości, że mu się wreszcie powiodło, zaczęli wraz z technikiem brawurowo badać teren, czy nie znajdzie się jeszcze lepsze miejsce na bazę. Jakoż szczęście im dopisało.

Tutaj odnalazł ich 3 sierpnia dowódca plutonu alarmowego.

Przy ulicy Moniuszki, naprzeciwko skrzynki kontaktowej u „Grażyny”, mieściła się kapliczka. Na jej zapleczu stacjonował oddział Sonderdienstu. Kiedy rozpoczęła się walka o Poczcie Główną na placu Napoleona, do meliny radiotelegrafistów, mieszczącej się na czwartym piętrze, przedostał się po rynnach „cichociemny” Topoła, oficer łączności pułkownika „Montera”. Zaproponował Welnie, który po stracie wszelkich kontaktów był w nie najlepszym nastroju, przejście na punkt kontaktowy komendanta okręgu warszawskiego, w innym skrzydle tej samej kamienicy.

Podporucznik zawałał się. Po jego odejściu może się tu zjawić łącznik i nie zastanie go. Podzielił się obiekcjami z przybyszem.

— Wykluczone — odparł energicznie skoczek. — Gmach jest pod ostrzałem od strony placu, a na rynnach nie każdy dobrze się czuje. Trzeba być małpą albo spadochroniarzem jak ja — uśmiechnął się.

W nowym locum zabawili niedługo. Trzeba było przebiegać się na punkt dowodzenia „Montera”, znajdujący się w odbitym przez powstańców hotelu „Victoria” przy ulicy Jasnej.

Łatwiej postanowić, trudniej wykonać. Drogo

odcinał im Sonderdienst. Nie pozostało nic innego, jak wybieć dziurę w ścianie od strony podwórka. Dozorczyni, bojowa niewiasta, na równi z mężczyznami waliła kilofem w mur, aż cegły leciały na boki.

Posuwali się chyłkiem, skradali przez podwórko, szczęście im obu sprzyjało. W hotelu zagarnał ich szum i gwar. Kurierzy biegali we wszystkich kierunkach, krzyżowały się rozkazy.

Welna zaczął przysadzić oficera, prosząc o kontakt z szefem łączności komendy warszawskiej. Kiedy stanął przed „Adwokatem” i przedstawił się, ten podskoczył z wrażenia. Na podłusznej twarzy mózgowca odbiło się wahanie. Dziwne zachowanie się majora nie uszło uwagi przybysza. Zmarszczył brwi.

— To pan jest ten Żbik — pokręcił głową sztabowiec. — Panie, co pan do cholery narobił... — sepleniał potężnie.

— Nie nie rozumiem, panie majorze. A co się właściwie stało?

— Przez pana „Ort” się zastrzelił.

— ???

„Adwokat” wzruszył ramionami. Nie znalazł bliższych szczegółów domniemanego dramatu, powtarzał zasłyszane wieści.

— Miałem na pułkownika kontakt, ale nie znalazłem go w oznaczonym miejscu — wyjaśnił spokojnym tonem porucznik. — W tej sytuacji nie pozostaje mi nic innego, jak oddać się pod pańską komendę. Pan ma sprzęt i ludzi, proszę pana, a ja się znam na tej robocie.

— Przecież mam swoich oficerów — odpartł ni

tak, ni siak „Adwokat”. — Mamy też własną sieć radiostacji i „Orbis” jest nam niepotrzebny do szczęścia.

— Ja bym nie stawiał sprawy tak jak pan, majorze. „Orbis” czy zadupie, jedna cholera, kiedy jest wojna. Już się dowiedziałem, że nie uruchomił pan nadajnika, a ja, jakby nie było, jestem od organizowania alarmowych punktów gry. Nie, nie, proszę być spokojnym, wiem, o co panu chodzi... — rzucił żywo, widząc zmieszanie na twarzy majora. — Nie mam tutaj ambicji dowodzenia. Podporządkuję się waszym oficerom łączności, nie dbam o blask i zaszczyty.

Upór „Jajogłowego” stopniał, a „Żbik” z właściwą mu energią i pomysłowością zabrał się do dzieła. Na jego pytanie, kto w sztabie „Montera” jest zdolny odbierać sto dwadzieścia liter na minutę, zgłosił się porucznik Pieniak-„Mak”, rzutek radiowiec. Znalazł się jeszcze jeden radiotelegrafista, „Słowianin”, przydzielono mu też kilka łączniczek. Welna posadził „Maka” na ślepy odbiór Londynu, a „Słowianina” na korespondencję. Antenie rozwieszono na tarasie.

Z miejsc też urósł stos depesz „Montera”, który dzięki radiostacji złapał wreszcie kontakt z dowódcami poszczególnych dzielnic walczącego miasta. Nastroj w „Victorii” był bojowy, podniosły. Welnie aż serce rosło, tak wszyscy rwali się do czynu. Nagle wycie nurkujących Stukasów przypomniło mu o prawdziwym obliczu wojny. Ju-87 celował w hotel, ale bomba padła z boku. Przy okazji dostało się antenie, którą trzeba było rozwieszać od nowa.

— Panie poruczniku — zwrócił się do „Żbika” powstaniec „Sekretarz” — w melinie na Moniuszki jest ktoś, kto koniecznie chce z panem mówić.

Zaintrygowany oficer podążył na dziwne spotkanie. Został niskiego wzrostu cywila w wyszarzalej jesionce.

— „Ort” jestem — przedstawił się nieznajomy, a porucznik już po raz drugi tego dnia doznał uczucia zaskoczenia. Kiedy ochłonął, zaczął przypatrywać się gościowi uważnie, miał wrażenie, że już gdzieś spotkał tego człowieka. Olśnienie... Czy to przypadkiem nie major Uszycki z Centrum Wyszkożenia Łączności w Zegrzu?

Wykręcił numer „Adwokata” i zameldował, że odnalazł się pułkownik „Ort”.

— Panie, to dywersant, szpieg!!! — darł się na całe gardło ma'or, aż warczało w słuchawce.

— On koniecznie chce przyjść do was.

— Niech pan go, na litość boską, nie puszcza samego. Przyprowadź go pan — zastrzegł okręgowiec.

Był to rzeczywiście „Ort”. Sprawa jego „zmarłychwstania” wyglądała tyleż zagadkowo, co i humorystycznie. Z Woli zawędrował na swój punkt dowodzenia na Lesznie w gmachu Sądów, skąd pod ogniem nieprzyjaciela przedzierał się do śródmieścia. Przypadkiem rozpoznał podążającego po nowe rozkazy „Sekretarza” i szedł jego śladami, nie ujawniając się. Tak trafił na melinę.

— Wola czeka na pańskie przybycie, trzeba tam zorganizować radiostację. Teraz pan rozu-

mie, poruczniku? Bylem już bliski rozpacz, że nigdy pana nie spotkam — zwrócił się do „Żbika”. — Wracam na Wolę, a panu przyśle „Kamę”, ona pana przeprowadzi, dokąd trzeba.

— Na Woli? Radiostację? To Kedyw nie ma własnego plutonu radiotelegrafistów?

— Zostali na Ochocie — westchnął „Ort”. — Pomieszał pan z „Basztą”.

— I nie zdążyli nawet sprzętu dać na Wolę?

— „Żbik” pokiwał głową z przyganą.

— Nie chodzi o sprzęt, ten się znalazł, ale o ludzi, o pana doświadczenie, poruczniku — rozwiał jego wątpliwości pułkownik. — No, na razie, prozę oczekiwać łączniczki.

Szpital wolski mieścił się na terenie opanowanym przez chłopców z batalionu „Parasol”. W drodze do niego przeżył „Żbik” — wraz z „Kamą” i „Grażyną” — nalot. Odlamki szkła po wybuchu bomby posiekały mu uda.

Bazę uruchomił błyskawicznie.

— Mam polecenie odkomenderować pana do Komendy Głównej — oświadczył na pożegnanie „Ort”.

— A jak w ogóle idzie, panie pułkowniku? No, jak się rozwija powstanie?

Sztabowiec potarł ręką gęsty zarost na brodzie.

— Hm, jakby tu powiedzieć... Dobrze, zgodnie z planem. Tak, tak, bardzo pomyślnie — dodał szybko.

Więcej komendantów i sztabów niż radiostacji — rozmyślał radiotelegrafista w drodze powrotnej. Nie mógł zrozumieć, dlaczego dawny hierarchiczny, konspiracyjny system łączności pozo-

stawiono na czas otwartej walki, zamiast stworzyć jedno miejsce dowodzenia.

Zabrał ze sobą „Grażynę”. W Sądach od ulicy Elektoralnej zainstalował nowy punkt gry, na którym obsadził „Nowaka”. Dla łączności ze sobą, z Dzielną, zostawił mu łączniczkę. Przenocował, a rano samotnie ruszył na Muranów.

Miłosza odnalazł na pierwszym piętrze pomalowanego na żółto drewniaka. Piętro wyżej rozgościł się z drugim nadajnikiem „Łazik”.

— Powiem ci dobry numer — nie wytrzymał Janusz. — Goniliśmy jak wariaci za tą moją „Nelką”, pamiętasz? A tu, w tej budzie, leży zmagazynowany sprzęt, że palce lizać, z importu... Organizacja, niech to cholera ściśnie!

Welna zacisnął pięści. Taksował bogatą zawartość zabetonowanego schowka, w którym znalazł także swoją utopioną „Nelkę”. Z miejsca uruchomił ją i zaczął korespondować, aby rozładować potężny materiał, piętrzący się przed „Białym” i „Tropem”. Aparat, mimo że przeleżał w studni parę miesięcy, łatwo pozwalał się stroić.

W Warszawie znajdowało się kilka takich, przeważnie nie wykorzystanych, magazynów sprzętu łączności. Niestety, miały one spłonąć razem z miastem. Cóż dziwnego, skoro nawet sam szef zaopatrzenia technicznego wojsk łączności nie nie wiedział o zaplanowanym na chybicka powstaniu i był jego wybuchem zaskoczony.

Radiotelegrafistów u Kamlera odwiedzał często pułkownik Kazimierz Piłta-Czachowski — „Kuczaś”. Był to szef V oddziału KG AK, podczas walki dowódca wojsk łączności. Przysiadł się do nich to z winem, to z papierosami.

— Popatrzcie na tych artystów — wskazywał na „Żbika” i „Białego”. Oczywiście wszystkich zwracały się na nich, czerwonych jak buraki z zakłopotania. — Chrońcie ich dobrze, strzeżcie czujnie. Oni są wariaci wszystkich pieniędzy — dodawał żartem. — Bo dowódców, sztabowców u nas na kopy, ale takich trzech jak tych dwóch nie znajdziecie ani jednego. Na nich wiszą losy powstania.

Z zażenowania wybał radiotelegrafistów łącznik generała Bora, który akurat w tym momencie zjawił się po pułkownika.

Sytuacja w istocie była niecodzienna. Szef łączności na cały kraj w warunkach powstańczych spełniał funkcję łącznika między Komendą Główną a radiotelegrafistami. To on na zmianę z „Gryfem” przynosił im depesze do nadania. Trochę im to pochlebiało.

Przesunęła się czasem za ich plecami szczupła, lekko pochylona sylwetka łysawego generała. Z każdym dniem wydawał się bardziej przygnębiony. Nie rozumieli tego nastroju wodza, bo na razie wszystko szło dobrze, tak się im najmniej wydawało w ich patriotycznym, bojowym uniesieniu. Chłopcy pułkownika „Radosław” zdobyli Monopol Tytoniowy i Pawlak.

A jednak w powietrzu zawisło nieszczęście, z dnia na dzień coraz bardziej wyczuwalne. Niem-

cy dużymi siłami zaczęli oczyszczać ulicę Wolską. Dzielnica płonęła, wraz z nią ginęli ludzie, paleni i rozstrzeliwani.

„Teofil” nie mógł wprost usiedzieć na miejscu. To kręcił się przy aparacie, to porywał thompsona i znikał na całe godziny. Wracał, rzucał jakąś liczbę, która rosła z każdym dniem, i znowu znikał. Raz po raz spoglądał na swoją szerniącą, dymiącą jeszcze broń, i prosił, żeby mu dano pokorespondować. „Biały” wymawiał się od tego, gdyż radiotechnik wyszedł z kampanii wrześniowej z lekką kontuzją, która zostawiła mu przytępiony słuch, a to obniża wartość pracy radiotelegrafisty. Miłoszowi za to cierpła ręka od nieustannego wystukiwania znaków-liter, więc moczył ją często w zimnej wodzie. W chwilach przymusowej przerwy zastępował go przy aparacie „Malec”.

Wśród depeesz były także przeznaczone dla „Montera” — jak też i meldunki odbierane od niego — ale radiooperatorzy z konsternacją przyjęli fakt, że naczelną sztab powstańczy coraz mniej panował nad przebiegiem walk, toczyły się one lokalnie, zależnie od okoliczności, właściwie bez z góry określonego planu, a zwłaszcza — co ich bolało — bez jednolitej i sprawnej sieci łączności.

Pewnego wieczora Miłosz wydał już cały materiał i usłyszał kwitujące: OK SK — że wszystko w porządku — gdy ze zdumieniem usłyszał sygnał, powtórzony kilka razy: rpt, rpt — powtórzyć depezę. Spieszenie przywołał „Żbika”.

— A cóż pan myślał, proszę pana? — wzruszył ten ramionami. — Jasne, że będą nas macać i teraz. To nie wiesz, że radiostacje cudownie naprowadzają artylerię na cel?

Czwartego sierpnia Welna ku swej wielkiej radości dowiedział się, że „Malec” odebrał depezę od „Franka” z Kampinosu. W dwa dni później Miłosz nadawał radiotelegram, w którym szef wydziału operacyjnego nakazywał dowódcy kampinoskich oddziałów włączenie się do walki na Powązkach.

Szóstego sierpnia „Żbik” osobiście nawiązał łączność z Jedlińskim. Dzień ten utkwiał mu w pamięci, gdyż „Gryf” wysłał „Malca” na cmentarz kalwiński na Woli, gdzie samoloty RAF dokonywały zrzutów.

— Cholera, ale tam gorąco! — opowiadał potem radiotelegrafista. — Już tam więcej nie pójde.

Na Woli walki dogasały w nieludzkiej scenerii. Ale i tutaj, na Muranowie, powstańcy siedzieli jak potępieńcy w piekle. Dookoła pożary, snujący się gęsty dym. Ustał dopływ elektryczności, radiostacje i odbiorniki pracowały wyłącznie na prądnicę.

W imieniny Romana podporucznik złożył podkomendnemu życzenia.

— Jak myślisz, co wyjdzie z tej naszej wojny? — spytał solenizanta.

— Trudno się będzie z tego wykaraskać — odparł zagadnięty. — No, ale cóż, ciągniemy dalej, rozkaz to rozkaz.

Wypadki, które teraz nastąpiły, jak bolesna kpina losu zdawały się potwierdzać ich mało optymistyczne, straceńcze nastroje.

— Ewakuujemy się na Stare Miasto — „Gryf” przekazał im rozkaz kwatery głównej. — Bierzcie tylko sprzęt na chodzie, resztę porządnie zamelinować.

Ludzi trawiła boleść. Pamiętali przecież niedawne sukcesy batalionów „Radosława” w swoim najbliższym sąsiedztwie.

W PIEKIELNYM TYGLU STARÓWKI

— Dwie przeprowadzki to tyle co jedno spalanie — zażartował Welna obserwując, jak Miłosz ładował na rower prądnice.

Pierwsze ruszyło dowództwo. Po nim pierwsza grupa radio: „Gryf”, Welna, „Basia” i „Teofil”. Pochód zamykali: „Koral”, Miłosz, Kowalski, „Łazik” i szyfranci. Zegnał ich syty pomruk oddalających się po naloce na Stare Miasto samolotów. Szli przez dawne getto, skokami, ostrzeliwani przez cekaem z wieży kościoła Św. Augustyna przy Nowolipkach, hitlerowcy siedzieli tam od pierwszych chwil powstania.

Przemykali się od jednej kupy gruzów do następnej. Welna aż przykucał. Seria, przeleciawszy tuż nad jego głową, kropnęła w zburzony dom. Na skurczone ciała powstańców posypał się beton, kawałki cegły i osmalonego tynku. Porucz-

nik wyteżył uwagę. Zgięty w krzyżu, przemyskał się wśród gruzów. Ruchy jego były lekkie, ostrożne, kocie. Nagle sprzął się w sobie i skoczył za następną płataninę cegieł i powyginanego żelastwa. Z Pawiaka, odbitego przez Niemców, karabiny maszynowe zaczęły kłuć ruiny nieregularnymi bryzgami pocisków. „Teofil” odpowiedział naciśnięciem spustu.

Już z ogrodu dostrzegli, że na placu Krasieńskich, róg Barokowej, płonął budynek szkoły, zamienionej przez Niemców na szpital. Ogień trawił wyższe kondygnacje. Pilny rozkaz rzucił pierwszych z przybyłych radiotelegrafistów do rozlokowania sprzętu. Szeptem podawano sobie z ust wiadomość o bardzo ważnej depeszy, od której jakoby miały zależeć dalsze losy powstania.

„Gryf” coraz to oglądał się za siebie, w stronę parku. Druga grupa przepadła jak kamień w wodzie. „Basia” zameldowała gotowość pójścia z „ekspedycją ratunkową”.

Jak ustalono później, Miłosz natknął się na patrol akowskiej żandarmerii. Przyglądali mu się podejrzliwie.

— Pan pójdzie z nami — powiedział wysoki gość w panterce i oficerkach.

Sierżant spojrzał na niego jak na wariata.

— Człowieku, po co ci ten rower? — zdziwił się inny z „kanarków”. — Po kiego licha ciągniesz toto ze sobą? I to jeszcze bez opon...

Wyjaśnienia radiotelegrafisty nie bardzo przekonały stróżów porządku. Szczęściem jeden z nich znał „Basię”, która w tej właśnie chwili nadeszła.

To „Biały” nadał ten ważny szyfrogram, w którym Bór via Londyn wydał rozkaz podległym oddziałom spoza Warszawy, aby natychmiast maszerowały na odsiecz stolicy. Miały one zaatakować niemieckie wojska skoncentrowane w mieście i wokół niego, przerwać się przez ich linię i połączyć z powstaniem.

Welna z „Teofilem” zakładali anteny pod ostrzałem. Wyszli na dach, ale pociski wyły tak gęsto, że porucznik uznał za wskazane przecześć kanonadę i zsunął się na dół. Technik nie poszedł w jego ślady. Słońce przetoczyło się przez zenit i cień „Teofila” przybierał na ziemi fantastyczne, ruchome kształty.

— „Teofil”, zejść do cholery, zrobimy to później — zawołał dowódca. — Uważaj, żeby twoja Maryśka nie musiała sobie szukać innego kandydata na męża.

Radiotechnik tym razem nie usłuchał rozkazu. Zszedł dopiero wówczas, kiedy dokończył dzieła.

Dla zmylenia nieprzyjacielskiej artylerii zapalono na podwórzu duże ognie, że niby cały budynek trawi pożar i powstańcy opuścili go.

Mimo tych chytrych środków ostrożności pocisk z „krowy” wytrącił ich z fascynacji gry. „Skrzypiąca szafa” rąbnęła w ścianę i przez wyrwę wpadła do sali na pierwszym piętrze. Wybuch rzucił „Koralą” na przeciwległą ścianę. Kiedy się podniósł, miał nieprzytomne oczy. „Łazik” — ogluszony i półprzytomny — machinalnie zebrał aparaturę i zwinął się do sali dowództwa.

— Gdzie „Koral”? — spytał zaniepokojony „Gryf”.

— Nie wiem — odparł odurzony jeszcze operator. — Widziałem go, jak... na głowie... wychodził z pokoju. My wszyscy tam, jak nas rzuciło od ściany do ściany, mieliśmy raz nogi w górze, raz głowę.

Coraz częściej widzieli przesuwające się w stronę Długiej oddziały, ściągające z Woli i Muranowa. Z wlokącego się na samym końcu kilkanaście młodych głosów podchwyciło znaną w tamtych dniach melodię:

Warszawskie dzieci pójdziemy w bój...

Jednak wielu milczało, byli niełudzko zmęczeni, niektórzy mieli zabandażowane głowy, ktoś niósł rękę na temblaku. Rozpylacze ciążyły im, ale nie dawali tego po sobie poznać, trzymali warszawski fason.

Na niebie kołował jak sęp samotny Junkers-87.

Na Barokowej sztab i obsługa radiostacji zabawili niedługo. Nowy rozkaz: Komenda Główna przechodzi na Długą numer 7, za Miodową. Potężny kompleks budynków, siedziba sądów i Ministerstwa Sprawiedliwości, od strony Starego Miasta obramowany był ulicami Podwałe i Kilińskiego. Komendant placu przydzielił „Orbisowcom” lokal przez ścianę z kompanią liniową „Romanów”. Welna, rozejrzawszy się po nowej bazie, stwierdził, że nie da się tu rozwiesić anten, i razem z „Gryfem” zameldował się u „Kuczbaby”. Interwencja poskutkowała i punkt gry ułożono w dwu pomieszczeniach bliżej głównego wyjścia, w tym samym skrzydle, biegnącym równo-

legle do Podwala. Okna wychodziły na ogromne podwórko. Jeden z pokoi zajmował Welna z nową łączniczką „Stenią”, w drugim rozstasowali się Miłosz z „Malcem”. Janusza zainstalowali razem z „Teofilem” przy ulicy Bednarskiej.

„Zbik” siedział przy stole w stylowym fotelu z epoki Ludwika XV i martwił się, że stracił kontakt z bazą na Elektoralnej i w Sądach. Był odizolowany od świata zewnętrznego, okna były szczelnie założone dwiema warstwami Kodeksu Napoleona. Pod stołem spała utrudzona dziewczyna. Była pora obiadowa i Niemcy przerwali ostrzał.

Naraz rozległy się oddalone, pomieszane okrzyki, a tuż potem wrzask na korytarzu. Drzwi otworzyły się z trzaskiem i wpadł przez nie nowy nabytek plutonu, radiotechnik „Wojtek”.

— Zdobyty czołg! — ryknął radośnie.

— Nigdy nie zapomnę tego dnia — szepnął „Biały”, kiedy i do niego dotarła ta wieść, i wzniosł dziękczynnie oczy ku niebu, a właściwie ku sufitowi. Welna ogromnymi susami wypadł na ulicę. Patrzy, przeciera oczy, nie, to nie przechwałki, stoi czołg. Już go nawet ochrzczono krędą: „Baśka”.

Wrócił do siebie, obudził „Stenię” i polecił jej udać się z meldunkiem do „Gryfa”. Nagle poczuł nienaturalne kołysanie się. Żywcem idę do nieba, czy co? — ogarnął go jakiś mistyczny nastrój. Sam nie wiedząc, jakim sposobem, znalazł się w pozycji leżącej pod ścianą. Oprzytomniawszy, widzi: ze ścian wali się tynk, gęsty kurz

wypełnia pokój, łączniczka pod stołem, „Ludwik” leży ze złamanym aparatem.

Jedna myśl uderzyła go teraz w czaszkę: Miłosz! Jak oparzony skoczył na korytarz. Do podkomendnych drzwi otwarte. Patrzy, oczy mało mu nie wyskoczą z orbit: Kowalski i „Koral” w dziwacznych pozycjach na podłodze, pod ścianami; „Biały” stoi w osłupieniu na środku sali, słuchawki ma na uszach, radiostacja zwisa mu do dołu, przykryta jak mąką białą warstwą tynku opadłego z sufitu. Twarz radiotelegrafisty i ręce, pocięte drobnymi ściegami, krwawią. Weneckie okna wywalone, razem z pokładem woluminów.

Zadudniły ciężkie kroki majora.

— „Biały”, rany boskie, żyjesz?!

Teraz wszyscy wlepiali oczy w małego operatora. Pod ich wzrokiem ochłonął z szoku.

— Co się tak gapicie na mnie, jak wrona na padlinę?

To jeszcze nie doszło do jego świadomości.

Wpadł „Kuczała”, akurat w momencie, kiedy w pobliżu wyrzwał olbrzymi pocisk armatni. Wzdrygnęli się, jeden „Gryf” pozostał nieporuszony.

— Podziwiam pańskie nerwy — pułkownik zwrócił na dowódcę batalionu pełne podziwu spojrzenie.

Dopiero teraz zobaczyli na korytarzu kłębowisko ludzi, usłyszeli straszliwe jęki. — Dobijcie mnie — błagał ktoś ciężko ranny. Ze zmasakrowanej kompanii „Romana” nikt z tych, którzy

odpoczywali pod dachem, nie ocalał; tu zawałił się sufit, a teraz widziało się płataninę mebli, gruzu i szczątków ludzkich. Komuś pomieszał się rozum i wyl dziko.

Łącznościowcy szli dalej amfiladą. Tu i tam ludzie dźwigali się z podłogi, stawiali na drżących nogach. Welna znowu pobiegł na Podwale. Ujrzał młodego, dobrze zbudowanego mężczyznę, zupełnie nagiego, podmuch zerwał z niego całą odzież! Teraz leżał trochę bokiem, martwy. Na innych trupach pozostały tylko mankiety i kołnierzyki koszul. Głowy ludzkie sprasowane, zamienione w ich miniaturki, w „pędzelki”, tkwiące na kawałku kregoslupa.

— Rany Boga jedyne!

Ktoś w bok od radiotelegrafisty belkotał coś rwącym się głosem. Inny, jak zahipnotyzowany, wpatrywał się w dziwacznie poskrecane ciała. Jeszcze inny klął bez opamiętania długim, wymyślnym cugiem.

Niemiecki czołg wypelzał od strony Zjazdu. Ostrzelany przez powstańców, wywiesił białą flagę. Chłopcy z batalionu pancernego skoczyli do niego, obsadzili nową, własną załogę. Hitlerowcy w porę zeskończyli i uciekli w stronę Mariensztatu. Ostrzelano ich, ale bez widocznego efektu.

Wśród radosnego gwaru podprowadzono okazałą zdobycz bliżej, w Nowe Tłomackie, stąd w Kiłińskiego i tutaj nastąpiła detonacja ukrytych w maszynie materiałów wybuchowych.

Podły podstęp udał się wrogowi znakomicie.

Porucznik obłądnym wzrokiem wpatrywał się w miejsce, gdzie przedtem stał zaminowany czołg. Teraz zapadła się tu ziemia i szczyrzył swoją paszczę potworny lej. Wrak odrzuciło daleko do tyłu. Wśród dziesiątków ofiar w zbiorowej mogile spoczął także wesół jak wróbelek radiotechnik „Wojtek”, znany z tego, że musiał być zawsze tam, gdzie się cokolwiek działo.

Porucznik ciężkim krokiem wracał na swój posterunek. Trafił akurat na moment, kiedy Miłosz opowiadał swoje wrażenia...

— Czuję, że coś mnie podnosi na krześle, i widzę, że ramy z drzwi wyskakują. Naprzeciwko mnie siedział sierżant z administracji i gapił się na „Nelkę”; wyrzuciło go z krzesłem na korytarz. Patrzę, mam czerwone ręce i nie wiem, co to jest. A kalectwa boją się więcej niż śmierci. Teraz już wiecie, to szkło w podmuchu starło się na drobny mak i tak mnie upiękoczyło... Zglupiałem z tego wszystkiego. Dopiero jak wy przyszliście, w głowie mi się nareperowało. Sanitariuszka wysmarowała mi twarz i ręce jodyną. Poszedłem do sąsiadów zobaczyć, jak tam u nich. Mówię wam, głowy poobrywane, trudno odróżnić kobietę od mężczyzny. Na balkonie drgała jeszcze oberwana ręka. Jakiś oficer dostał ataku hysterii i zaczął strzelać, z trudem go rozbrojono...

Z opuszczoną nisko głową przeszedł korytarzem generał Komorowski. Był lekko skaleczony. „Stenia” założyła mu opatrunek.

Roztrząsano ostatnie nowiny. Wybuch zdeorganizował koncentrację oddziałów, które gotowa-

ły się uderzyć na tyły Zamku, gdzie w piwnicach siedzieli Niemcy. Zamierzano złapać przychódek na moście Kierbedzia. Do rannych przybyła trupa artystów z koncertem pieśni i poezji.

Kiedy wreszcie przeorganizowano oddział szturmowy i miała paść komenda marszu do boju, Welna mrugnął na „Łazika”.

— Pójdziemy z nimi? — mocno ujął rękojęść „Thompsona”.

— A no, trafia się okazja — „Trop” zwichrzył sobie czuprynę. — Dobrze by było powojować, rozprostować plecy. No i odbić sobie za ten przekłety czołg...

— Wybijcie to sobie z głowy! — zabrzmiało im nad uchem, aż podskoczyli i obejrzelisię. — Was tu nie do rzucania pigulek trzymamy, to każdy potrafi. W swojej pracy jesteście niezastąpieni — upominał ich ojcowiskim tonem „Gryf”.

Porucznik westchnął i wziął się do sprawdzania swojej „Nelki”. Nie działała. Pokiwał głową: po czymś takim... Znalazł się inżynier radiotechnik od Philippsa, szybko odkrył źródło awarii, gorzej poszło z aparatem Miłosza. Wtem Welna widzi, że spadł kontakt z anody lampy, taki kapselek na końcu kabla.

— No i naprawił pan aparat — w głosie inżyniera zabrzmiało uznanie. Oczyszczył radiostację, docisnął kontakt, działało.

Inżynier jeszcze tego samego dnia poległ na barykadzie, tak jak i porucznik „Stolarz”. Welna widział, jak go wynoszono w ciemnosrebrzystej trumnie. Tuż obok żandarmeria akowska rozstrzelała niemieckiego szpiega, który za

pomocą świateł sygnalizował pozycje powstańcze.

Artyleria niemiecka z jakąś specjalną zaciętością ostrzeliwała gmach Sądów. Zaczęto szeptać, że namierzono radiostację i że lepiej będzie, jeżeli te ulokują się w dalszej odległości od naczelnego dowództwa.

Tak się też stało. Na rozkaz szefa sztabu bazę gry przeniesiono na ulicę Freta. Radiowcy byli w drodze na nowy punkt, kiedy nadleciały Stukasy. Wszyscy momentalnie rozbiegli się, pochowali w piwnicach i lejach bombowych. Odór spalinyzny i prochu wdierał się do ust i nosa.

Ledwie zdążyli zainstalować się w piwnicy, gdy ze sztabu Armii Ludowej, mieszczącego się naprzeciwko nich pod numerem 16, po drugiej stronie ulicy, zjawił się młody oficer. Okazało się, że oni także mieli krótkofalówkę. Nawiązano sąsiedzki kontakt.

Punkt gry „Zbika” znajdował się w piwnicy, natomiast aparatura odbiorcza i kwatery mieszczyły się w podwórzu. Porucznik chciał posadzić „Teofila” na konserwację sprzętu, bo technik „Wojtek” zginął, ale ten obraził się, że się go odsuwa od korespondencji. Wobec tego dano mu odbiornik, żeby w wolnych chwilach wylapywał wiadomości ze świata. Nie zawsze były one pocieszające. W miarę zbliżania się do linii Wisły impet uderzenia radzieckiego słabł z uwagi na częste kontrataki wroga. Była to dla powstańców smutna wiadomość.

Porucznik, chcąc skoncentrować się na korespondencji zagranicznej, postarał się o przekaza-

nie sieci krajowej kapitanowi „Zenonowi” z ekipy skoczków. Skontaktował ich kapitan „Samulik” z oddziału pułkownika „Wachnowskiego”.

Dom drżał od bomb. Ledwie się trochę uspokoiło, pocisk wyrzynał w przewody wodociągowe; a tu jedna z piwnic była załadowana karbidem. Wszyscy powstańcy uciekli stamtąd w popłochu, ale załoga radio została, jej nie wolno było przerwać seansu. „Malec” odbierał wtedy na ślepo, na swoim małym, niezwykle czułym aparacie, i kłął jak szewc, bo ciągle mu coś przeszkadzało.

— Jaka tam cholera tymi drzwiami trzaska! — wrzasnął na cały głos. Dowódca „Iskier”, zawsze opanowany i wytworny w doborze słów i wyrażaniu uczuć, uśmiechnął się przepraszająco. Zjawił się także major Jaskierski — „Jaskier”. Nie chcąc być darmozjadem, rozebrał się do naga i „pchał” na rowerze, kręcąc prądnicę. Welna w tej tragikomicznej sytuacji nie dał mu się rozpoznać.

Pojaśniały im twarze na widok krępej sylwetki „Kuczaby” z butelką czerwonego wina w każdej ręce. Kowalskiemu wręczył paczkę papierosów ze zrzutu. Obdarowany rzucił się na rarytas, palił jednego po drugim.

— Co, kapitan „Koral” znówu tutaj? — zdziwił się pułkownik. — Coś pana tu ciągnie... Lepiej niech pan urzęduje w sztabie, na swoim miejscu, bo w przeciwnym razie pójdzie pan na radiostację, a „Żbika” wezmę do siebie, do sztabu.

Kiedy obaj sztabowcy wrócili na Długą, „Łazik” przysunął się do dowódcy.

— Jak pan myśli, poruczniku, wyjdzie coś z tego, no, z tego wszystkiego — zatoczył ręką obszerny krąg.

— No, proszę pana, to zależy... — Welna podrapał się po głowie. — No, od aliantów, chyba nasz hetman wszystko prawidłowo uzgodnił. Musimy otrzymać pomoc...

— Od Sosabowskiego, tak? — plutonowy spoglądał mu z nadzieją w oczy. — To byłoby wreszcie coś konkretnego, ale — zawahał się — jakoś nie mogę sobie wyobrazić, jak oni tu dolecą i jak wylądują. Wprost na miasto, na głowy szkopów? Zresztą, pał sześć, nie moja sprawa. Jedno tylko jest pewne: albo my szwabów, albo oni nas...

— Już lepiej my ich — roześmiał się dziwnie oficer. — Na razie na to nie wygląda, ale może się jeszcze wszystko odwrócić... W każdym razie my się bijemy do końca. Po to składaliśmy przysięgę.

Zaprzyjaźnił się z sąsiadującym z nimi plutonem z „Parasola”. Oniemiał, kiedy z barykady na Mostowej wróciło tylko pięciu z tego plutonu. Jednym z ocalałych był dwunastoletni dzieciak w niemieckim hełmie, który leżał mu prawie na ramionach. Zdobywcza spluwa sięgała chłopcu do kolan. Kobiety nagotowały kaszy szczerbiatym od prochu żołnierzom.

— Jedz, syneczku — jedna z nich podała malcowi napełnioną miskę. Znali go wszyscy. Często stał ochotniczo na posterunku na rogu Freta

i Długiej, i najgłośniej ze wszystkich krzyczał: „Stój! Kto idzie?”

Starówka zamieniała się w kupy rumowisk. Nie było już wody, światła, opatu, lekarstw. Na tym tle nadawane od czasu do czasu przez BBC Z dymem pożarów brzmiało jak makabryczne szysderstwo. Ludność i żołnierze zaciskali z wściekłością pięści, nie wiedząc, że hymn ten oznaczał po prostu hasło: Zrzutów nie będzie. Kiedy rozbrzmiewała skoźna melodia *Umarł Maciek, umarł* — anonsowano w ten sposób, że będzie lot na Warszawę.

Życie zeszło do piwnic, na powietrze teraz wychodził ten tylko, kto musiał. Radiowcom przydzielono nową łączniczkę z „Parasola”, wyjątkowej urody brunetkę. Razem z „Basią” i „Stenią” dziewczyny stanowiły zgrane trio. Szczególne uznanie budziła ich zaradność. Nie było wypadku, żeby nie potrafiły odnaleźć dowództwa i dotrzeć do niego. A przecież sytuacja z dnia na dzień, z godziny na godzinę zmieniała się na gorsze; to zmuszało do chodzenia z meldunkami nocą. Przyносиły ze sztabu materiał na Londyn czy Bari, spały w piwnicy. Wszyscy myli się w tej samej wodzie. Życie Spartan w porównaniu z ich egzystencją było rozpustą.

— Wiesz, „Basiu”, gdybym tak obskoczył trochę kartofelków, to by mi lepiej szła praca — rozmarzył się przy dziewczynie Miłosz. Niemieckie konserwy z rozbitego magazynu na Stawkach należały już, niestety, do wspomnień.

Łączniczka wysunęła się na ulicę, by wrócić po godzinie z paru ziemniakami. Pod kulami poszła,

odnalazła skwerek, na którym ktoś wiosną zasadził sobie kartofli.

W dniu 26 sierpnia pocisk z działa kolejowego o wadze ponad pół tony wyrznął od tyłu w ich kamieniczkę, po nim drugi. Niemcy dobrze namierzili radiostację. Teraz w miejscu piętrowego domu czernił się lej, budynek zniknął jak w okropnej bajce. Zmiotło go formalnie. Kamienie, wyjął, leciały na znaczną odległość.

W piwnicy tylko dmuchnęło, kurz, gruz; przecierali zaczerwienione oczy, nie widzieli się nawzajem. Nosi mieli zapchane ziemią.

— Jesteśmy zasypani — mruknął z flegmą Wełna. Potem uprzytomnił sobie, że był to zaledwie jeden z wielu ataków artyleryjskich, jakie przeżyli tego nie kończącego się dnia.

Ale na razie, po tej katastrofie, na chwilę czas zastygł w bezruchu. Aż tu — nowy huk. Bomba trafiła w budynek na Freta 16, w alowców.

— Zabili tam całe dowództwo — przyniosła okropną wieść „Stenia”. — Prócz tego cała brama zawałona trupami!

Wybuchy porwały im anteny, znowu musieli ciągnąć je wzdłuż ulicy. W nocy prawie nie spali, żyli na stojąco. Nadawanie jednej depeszy trwało do czterech godzin.

Następnego dnia padł rozkaz: przygotować się do natychmiastowej ewakuacji. Epopeja Starówki dobiegała swych dni. Bór-Komorowski jako jeden z argumentów uzasadniających przeniesienie sztabu do Śródmieścia wysunął niemożność utrzymania ze Starego Miasta łączności radiowej. Jego słowa wiernie przekazał radiotelegrafistom „Ku-

czaba": Przerwanie łączności radiowej, dzięki której miałem zapewnioną możliwość dowodzenia, pociągnęłoby za sobą poważne konsekwencje. Wobec tego zdecydowałem się przenieść sztab do Śródmieścia.

Na Starówce grała już w końcu tylko jedyna brwinowska „Nelka”. Musiała swój obowiązek spełnić do końca. Alarm w kompanii „Orbis” trwał.

KANAŁAMI Z RADIOSTACJA

Do wjazdu podążali nocą. Stare Miasto zęgnęło ich morzem ognia. Płonęły budynki. Ze wszystkich stron dochodziły jęki rannych. Jak zwykle w przemarszu, szli dwiema grupami, na czele sztab powstania, prowadzony przez „Basię”. Wełna siedł w drugiej grupie, której przewodnikiem była „Żytka”, zwana „królową kanałów”. W tej partii kolejność była następująca: Kowalski, „Gryf”, Wełna ze sprzętem w plecaku, za nim łączniczka, Miłosz, „Teofil” i szyfranci. Pochód zamykało kilka dalszych osób: Janusza-„Łazika” wśród nich nie było, został odkomenderowany do radiostacji pułkownika „Żywiciela” na Żolibórz. Poszedł tam z grupą pułkownika „Grzegorza” i dwiema szyfrantkami. Wśród oficerów sztabowych chodziły poufne wieści, że był rozważany projekt wyjścia całego dowództwa przez Żolibórz za Warszawę, może do Kampinosu, ale że myśl tę odrzucił sam generał.

Kłapa zasłaniająca wejście do kanału znajdowa-

ła się u zbiegu Miodowej i Długiej, teren był pod ustawicznym ostrzałem. Księżyc schował się za chmury, z ogrodu Krasieńskich sterczały w niebo nagie, osmalone kikuty drzew. Wyglądały jak fantastycznych kształtów krzyże nagrobkowe. Ciemność przed przemykającymi się cieniami rozświetlały rakiety, dodając grozy już i tak niesamowitej scenerii. Szczęśliwym trafem na drodze ewakuujących się, w bezpośrednim sąsiedztwie wjazdu, był lej artyleryjski. Tam się pojedynczo kierowali, tuż przy ścianach, gęsiego. Z pozycji niemieckich zaszczeakała seria z broni maszynowej, więc skok do leja, nowa kanonada, znowu kilka kroków.

Cisza pękła w kłaśnieciu wystrzału. Na niego poszybowała rakietą, za chwilę zrobiło się jasno. Skulili się odruchowo. Zauważą... Nie, co za szczęście... Westchnienie ulgi. Wreszcie ostatni skok, to już czeluść kanału, nogami maca się klamry i w dół, i w drogę.

Tutaj, na dnie, obowiązkowo należało się trzymać wyznaczającego trasę sznura i nade wszystko zachować ciszę. Nawet zwykły kaszel mógłby ich zdradzić przed Niemcami. Kanał prezentował się dość okazałe, był to nowy burzowiec, wysoki, szło się zwyczajnym krokiem w czystej wodzie, sięgającej powyżej kolan. Od czasu do czasu napotykali dziurę w jezdni i tam się lała woda. W miarę upływu czasu trasa zmieniała konfigurację, przeście stało się niskie, rury były upaprane smołą, która zostawiała ślad na ubraniach. Teraz to już nie był „spacer”. Szli w kucki, podpierając się dwoma zawczasu

dostarczonymi kijkami. Rura miała zmienne przekroje. Miłośz niósł „Nelkę” na piersi, u samej szyi. Szwarcował, wbrew rozkazom, cztery pudełka papierosów i dwie puszki sardynek. Dzięki radiostacji nie został zrewidowany przez własną zandarmierię u wejścia do wjazdu.

W pewnym momencie doznał uczucia duszącego lęku. Złamał mu się kijek, a on sam rozciągnął się w wodzie. Poczul dziwną lekkość na szyi i wydało mu się, że zgubił aparat. Gramoląc się z cieczy, wymacywał grunt, aż wyprostował grzbiet i uspokoił się. Radiostacja wisiała na nim po staremu. Przycisnął ją czule do piersi.

Nie ma zlej drogi dla żołnierza — pomyślał, obserwując to, Welna. — Musi przejść i tam, gdzie się koń potknie, i gdzie dziki zwierz nie przejdzie. Nawet hitlerowski zwierz.

Wyszli na światło dzienne o świcie, na rogu Nowego Świata i Wareckiej, na zaminowane pole. Ciężko chwytały powietrze, zataczali się jak pijani. Dopiero teraz spostrzegli, że są ubabrani w błocie, jak wypełzłe ze szlamu miętusy.

Rozglądali się za przewodnikiem, który miał tu ich, cały sztab, oczekiwać, żeby przeprowadzić między minami. Nie było żywej duszy, więc klnąc w pień „takie porządki” i szczekając zębami, ustawili się pod ścianą kamienicy. Jeden z drugiego nabijali się, bo najmniej byli podobni do ludzi. Taki „Gryf”, znany elegant, przebył kanał w kałesonach i skarpetkach, buty i spodnie przenosił, żeby nie zbrudzić. Po tej eskapadzie zachorował się na zapalenie płuc i został wyłączony z akcji.

Czekali od świtu prawie do południa, kiedy wreszcie zjawił się cerber. Zabrano ich do gmachu PKO, na rogu Świętokrzyskiej i Marszałkowskiej. Idąc tam, okrzykli stojący w ogniu plac Napoleona.

Na miejscu fasowali świeżą bielizną i zastępcze bluzy, ich ubranie oddano do prania. „Małcowi” przypadły w udziale eleganckie lakierki, z których był bardzo dumny. Myli się najpierw w nafcie, a potem w łaźni pod gorącą wodą. W budynku zainstalowało się dowództwo z Borem na czele.

Po dwudziestu czterech godzinach wypoczynku przyszedł po radiotelegrafistów „Wilk” z komendy okręgu i zawiódł ich do gmachu konserwatorium na Tamce. W pobliżu znajdowały się winiarnie, nieco dalej klasztor z piwnicami zastawionymi butlami wina.

WĘDRÓWKI PO ANTENIE

Kiedy już mieli wejść na teren posesji, z dołu ulicy wybonił się starszy gość w dorożkarskiej czapce, zsuniętej na tył głowy, z pustą butelką w ręku. Podśpiewywał sobie nieskładnie i lekko zataczał się.

— Pa... panowie powstańcy? — Czknął potężnie. — Bro... brońcie naszej kochanej sy... syrenki... Melduję panu — złapał Welnę za guzik marynarki — że nie da rady, ty... tylko upić się warto. Wystawili ją, ko... kochaną — tu zatoczył się na jezdnię, z trudem chwytając równowa-

ge — wy... wystawili ją światu bezbronną, młodego pana... Tak jest, panie starszy. — Ujął porucznika za kłapy marynarki i usiłował go pocałować, ale ten uchylił się. — Czy nie mam ra... racji?

Machnął ręką, zakwilił jak małe dziecko i ruszył dalej pod górę, w stronę Kopernika.

Na tym punkcie krótko grali, by przenieść się następnie do bloku mieszkalnego na rogu Dynasów i Zajęczej. Odnalazł ich tutaj, ku ogólnej radości, „Prusak”-Wiśniewski, który od początku powstania operował w Śródmieściu. Łączność ze Stanmore działała bez zakłóceń. Od skarpy osłaniał ich potężny blok, od Wisły także kamienica, oni rozstawiali się w środku. Antena ciągnęła się przez całą szerokość podwórka. Stąd to przekazywali pompacyjną depezę Bora-Komorowskiego: *Heroiczna obrona Starówki przechodzi do legendy. Upadek jej stanowi dla nas stratę jednego z bastionów obrony.*

Piątego dnia pobytu została zbombardowana elektrownia na Wybrzeżu Kościuszkowskim. Radiowcy znowu włączyli prądnicę.

Łatwo było rzucić powstańcze oddziały do otwartej walki i pchnąć miasto w otchłań wstrząsających cierpień, ale po miesiącu zmagania, gdy sytuacja przybrała rozmiary katastrofy, sam Bór-Komorowski, winny tych wszystkich nieszczęść, wreszcie zrozumiał, że kontynuowanie działań zbrojnych staje się bezcelowe. Depeszo-

wał do Sosnkowskiego, że liczy się ze zwiększonym naporem nieprzyjaciela, dążącego do likwidacji oporu powstańców. Sygnalizował brak żywności i amunicji. Na zakończenie dodał jednak: *Duch żołnierzy dobry.*

W sąsiedztwie radiostacji nie zanosilo się na sielankę. Tuż obok, w przylegającej do Tamki fabryce, „grzał” ustawiony w oknie cekaem. Niemcy odpowiadali z Uniwersytetu. Przed oknami bazy przelatowały serie granatów.

Pewnej nocy, nad samym ranem, cała seria pocisków z sześciolufowego moździerza upadła pod ich oknem. Huk był tak potężny, że w cynie porucznika pękła sprężyna.

Po dziesięciu niespokojnych dniach zjawił się łącznik dowództwa, ten sam „Wilk”. Punkt był zagrożony, decyzja o ewakuacji zapadła w szybkim tempie. W dziesięć minut po opuszczeniu przez nich posesji, zajęli ją własowcy. Welna, wszedłszy na skarpe, rozglądał się za odpowiednim miejscem. W jednej z kamienic, przeludnionej po brzegi, odkryli magazyny; tutaj też postanowiono zająć stanowisko. Gdy tylko mieszkańcy zwąchali pismo nosem, że chodzi o radiostację, podnieśli krzyk sprzeciwu. Pozostało szukać innego miejsca, ale już w Śródmieściu. Szli z Powiśla pod gradem kul. Przylepiali się do ścian w Alejach Jerozolimskich, klucząc przeważnie od tyłu, bo Bank Gospodarstwa Krajowego opanywany był przez Wehrmacht. Na odcinku Krucza — Marszałkowska rozłożyła się potężna barykada, a za nią ogromny wykop, którym przechodziło się na drugą stronę ulicy. Ukryty w pob-

liżu niemiecki snajper nie „gwarantował” bezpiecznego przejścia. Żołnierz u wejścia pouczał, jak można dobrnąć żywym na południową stronę, ale nie wszyscy go słuchali. Efektem tej lekomyślniej brawury były liczne ofiary.

Ekipa radiotelegrafistów przebiegła trasę bez strat, by znaleźć się w takich samych opalach przy przejściu Marszałkowskiej, naprzeciwko ulicy Skorupki. Nic dziwnego — w Urzędzie Telekomunikacyjnym od pierwszego dnia gnieździł się Niemcy, podobnie jak w Muzeum Narodowym. Te dwa gniazda-bastiony potwornie dały się we znaki. Od zachodu hitlerowska linia ognia oparła się o ulicę Emilii Plater. W „Romie” i na Dworcu Głównym — także wróg. Powietrze było zagęszczone od niemieckiego żelaza.

Po licznych przymiarkach ci z „Orbisu” postanowili osiąść przy Marszałkowskiej 79/81, tuż za barem „Satyr”, vis-à-vis Skorupki. Ulokowali stację od podwórza, w oficynie, w stronę Poznańską. Jak z nieba spadli im do pomocy „Leszek Biały”-Wiciński i radiotechnik „Marek”-Stanisław Malinowski. Radość nie trwała długo, zmąciła ją śmierć lubianej przez wszystkich „Basi”. Zginęła — jako łączniczka generała Bora — podczas ostrzału artyleryjskiego, skierowanego przez Niemców na gmach PKO. „Kuczaba” doznał wtedy złamania podstawy czaszki i został wyeliminowany z gry.

Na domiar nieszczęść dowiedzieli się, że „Stenię”-Żmudzińską zastrzelili hitlerowcy na Powiślu. Tu, na Poznańskiej, były z nimi teraz: „Gra-

żyna” i „Zygma”, czyli „Czerwony Kapturek” alias „Ciocia”, a z nowych „Małgosia”, siostra „Steni”. Na krótko ściągnął Welna „Teofila”, ale w niedługim czasie odkomenderował go na Mokotów.

Od strony Marszałkowskiej mieściło się dowództwo łączności okręgu warszawskiego. Szef tej służby, Chojański, pojawił się jak duch zemsty w plutonie alarmowym.

— Ciszej. Jest połączenie — syknął „Biały”, zły, że mu przeszkadzają w momencie, kiedy wreszcie złapał „Martę”.

— Jak się stąd nie wyniesiecie, to was zastrzelę — oświadczył gość. Sztab bał się, że radiostacja przyniesie nieszczęście.

Porucznik wybrał się na tę okoliczność z mel-dunkiem do „Orta”, kwatrującego tuż obok, przy Poznańskiej 15.

— Powiedźcie mu, że teraz będziecie już tylko przyjmować, że likwidujecie nadawanie. To go uspokoi — zmrugał oko pułkownik.

Fortel „chwycił”, Chojański odzyskał spokój. Oświadczone mu, że korespondencję dla Londynu przejmie pluton „Śmiałego” na ulicy Jaworzyńskiej. Inna sprawa, że Welnie i tak zależało, aby „Śmiały” odciążył niemiłosiernie zapracowanego „Białego”. Część materiału miał przejąć radiotelegrafista „Rak”-Zakrzewski, przedwojenny sierżant z pułku radio, znajomy porucznika.

Młosz mógł teraz, przynajmniej nie niepokojony przez swoich, wywoływać „Romka”. Stało się jednak inaczej. Pokrzyżowały im te plany

dziewczyny, zresztą w dobrej wierze. Nie chciało im się chodzić z korespondencją aż na plac Zbawiciela, więc doręczały ją niemal wyłącznie „Białemu”. A ponieważ nie było światła, uruchomiono prądnicę. Jej wycie znowu sprowadziło Chojańskiego.

— Wyniesiecie się stąd, do cholery, czy nie?! — rzucił ze złością.

— Dokąd? Proszę to uzgodnić z pułkownikiem „Ortem” — odparł zimno Welna, a w duchu pomyślał: Taki z ciebie dowódca, jak ze mnie fordanser.

Sztabowiec okręgowy nie miał jednak okazji do rozmowy z naczelnym szefostwem, gdyż „krowy” zbombardowały szpital, sąsiadujący przez korytarz z bazą radio, co w połączeniu z przeraźliwym jękiem rannych wzniesło ogromny popłoch w tej dzielnicy. „Orbisowcom” gruz zawalił drzwi od zewnątrz, musiano ich wydobywać z opalów. Tarapatom nie było zresztą końca. Minał nalot, nadszedł sierżant żandarmerii z awanturą, co oni za jedni. Ledwie się go pozbyli. Po tym incydencie Welna złożył meldunek w szefostwie ochrony polowej, prosząc o pouczenie żandarmów o roli, jaką spełnia punkt radio.

Poweselał, kiedy znowu udało mu się nawiązać kontakt z radiostacją „Franka”. Na co oni czekają w tej puszczy, dlaczego nie idą nam na pomoc? — zachodził w głowę. Gdyby wiedział, że dni zgrupowania kampinoskiego są policzone...

ODPOWIADA DRUGI BRZEG

Radiotelegrafiści nieraz zastanawiali się, dlaczego nie otrzymują rozkazu nawiązania łączności z Armią Radziecką. Jakież tedy było ich zaskoczenie, kiedy zjawił się Uszycki i jakby nieco zażenowany oświadczył:

— Wydałem polecenie grupie inżynierów, aby umożliwili wam pracę ze sztabem Pierwszego Frontu Białoruskiego.

Welna uniósł wysoko brwi.

— To nie będziemy z nimi korespondować przez Londyn? No bo jeżeli przez Stanmore, to po co nam inżynierowie?

— Nie, jest rozkaz, żeby bezpośrednio — potrząsnął głową pułkownik.

— A elementy ruchu? Częstotliwość, długość fali, sygnał wywoławczy? — wzruszył ramionami radiotelegrafista.

— „Gryf” powiada, że zostały już przedepesowane Rosjanom via Londyn. Podobno porucznik „Mak” i rosyjski spadochroniarz-łącznościowiec nadali radiogram generała „Montera” do sztabu Pierwszego Frontu Białoruskiego, żeby dali elementy ich radiostacji. Niestety, odpowiedzi nie było.

Przy Kruczej mieścił się magazyn-warsztat konserwacji sprzętu. Tam też zaczął wyrastać dipol przez całe podwórze, od komina do komina, podług wymogów najnowszej techniki; na fider użyto kabla koncentrycznego. Tu miał być

punkt gry wyłącznie z Armią Radziecką. „Ort” obejrzał się, oznał krótko:

— Tu każdy nadajnik będzie grać, panowie.

Koncepcja dużego pola antenowego wynikała stąd, że praca ze sztabem 1 Frontu Białoruskiego miała przebiegać na dłuższych falach niż z Londynem, a więc na mniejszej częstotliwości.

Welna przydzielił nowej bazie kilka nadajników. Żadnemu nie udało się nawiązać łączności. Radiotelegrafisci popatrzyli na siebie: taka sieć i na nic... Wrócili na stare śmieci przy Poznańskiej, a „Żbik” zaczął kombinować antenę na własną rękę, w podwórku. Naciągali druty w różnych kierunkach i kombinacjach, robili próby — wszystko nadaremnie.

Zdenerwowany niepowodzeniem porucznik sam zasiadł do „Nelki”, wystukał znak. Nagle drgnął. Schwycił słaby sygnał zgłaszającego się rosyjskiego radiotelegrafisty. Niestety, czas gry już się kończył.

— Ja go, o tutaj, w tym miejscu, słabo słyszałem — zwrócił się do Miłosza. — Niech pan go jutro wymaca.

Nazajutrz słowo stało się ciałem, i to przypadkowo. Porucznik Pieniak-„Mak” razem z radzieckim skoczkiem przedostali się do Armii Radzieckiej i teraz szukali łączności ze sztabem powstania.

No, jeszcze nie koniec, może odegramy się na szkopach — owiała go nowa fala entuzjazmu. — Tylko że... te ruiny, zgłiszczą... Dla miasta każda pomoc będzie spóźniona...

Do akcji weszli radiotelegrafisci zza Wisły.

„Orbis” otrzymał z tamtej strony kod lotniczy, no i — obok już pracujących radiostacji AL — zaczęła się korespondencja. Tyle że teraz Welna sam szyfrował i deszyfrował radiogramy. Powstancy przekazywali do sztabu 1 Frontu Białoruskiego informacje o placach zrzutów i dane o oznaczaniu tych miejsc. Niestety, łączność ta była o całe tygodnie spóźniona. Cała Warszawa płonęła, lotnikom radzieckim i polskim z pułku nocnych bombowców „Kraków” trudno było odróżnić pożar od umówionych punktów świetlnych. Lepiej już szło z wykorzystaniem przekazywanych przez Welnę i Miłosza na tamten brzeg danych o pozycjach zajmowanych przez Niemców. Rosyjska artyleria wstrzeliwała się, potem tukała po podanych współrzędnych, robiła to dość precyzyjnie, nieraz tak blisko, że radiotelegrafisci aż podskakiwali od wybuchów.

Mimo trudności z rozpoznaniem „kukuruźniki” dokonywały zrzutów. Z uwagi na bezpieczeństwo i potrzebę dokonywania celnych zrzutów latały nisko, nocą, jak nietoperze; zrzucały suchary, kaszę prasowaną z tłuszczem. Zdarzyło się, że worek sucharów zawisł na balkonie. Wrócili raz porucznik z sierżantem z Poznańskiej, z kuchni. Uraczono ich na obiad kaszą-pluką, nazwaną tak od plew, osłodzoną ersatzem miodu. Nadleciał „kukuruźnik”, zrzucił worek z kaszą, ładunek rąbnął u nóg Welny. Kiedy nazajutrz znowu wrócili z obiadu, zaczęły ryczeć „krowy”. „Żbik” ruszył ku przejściu przez mur.

— Nie — zaprotestował Miłosz — pod dom.

Skoczyli do ściany, a tu seria pocisków jak nie wyrznie tuż przy przejściu... Spojrzeli po sobie ze zgrozą. O mało co nie podzielili losu kilku innych żołnierzy, tu, w pobliżu radiostacji. Bo hitlerowskie goniometry pracowały bez przerwy, baza została namierzona; stąd to bezustanne „macanie” jej przez artylerię. Nad ich głowami pociski latały niemal bez przerwy. Dzień pomieszał im się z nocą.

A oni, prawdę mówiąc, już nie bardzo mieli gdzie się przenieść.

OSTATNIE REFLEKSY WALKI

Ucieszyli się niezmiernie: przez Londyn złapał ich „Łazik”. Pochwalił się, wystukując nie zaszyfrowany tekst, że nawiązał kontakt ze sztabem generała Berlinga, dowódcy 1 armii Wojska Polskiego.

Osiemnastego września wczesnym popołudniem niecodzienny huk silników zbulwersował całe miasto. Radiotelegrafisci nie wytrzymali w piwnicy i teraz ze wzruszeniem wpatrywali się w chmurę więcej niż stu amerykańskich czterosiłnikowych latających fortec. Potem jak szaleni wyskoczyli na ulicę, w jasny potok światła, w nadziei, że to polska brygada spadochronowa Sosabowskiego spieszy zrobić z Niemcami porządek. Sceneria w dole niby ta sama, ale górą szedł odwet za miasto. Przybiegł „Ort” z gotowym planem nawiązania korespondencji radiowej ze sztabem spadłej z nieba brygady.

Ściągnęły się twarze, czar prysnął. Na różnobarwnych spadochronach zrzucano broń i żywność. Hitlerowcy nie przypatrywali się temu ministerium bezczynnie. Biła artyleria przeciwlotnicza, ale pociski rozrywały się w błękitie nieba, żaden samolot nie został trafiony. Słzy majestatycznie, a resztki miasta trzęsły się w posadach.

— Kaput — pokiwał smętnie głową porucznik. Wiatr znosił zrzuć na pozycje niemieckie, powstańcy niewiele skorzystali. Maszyny rozplynęły się w przestworzach i znikły bezpowrotnie. Ale wiele ludzi podskakiwało z radości, płakano, całowano się.

Wkrótce potem pocisk artyleryjski trafił w punkt gry, zainstalowany przez radzieckich spadochroniarzy-łącznościowców tuż obok bazy „Orbisu”. Rozeszła się też wiadomość, że w browarze Haberbuscha znajdują się zapasy pszenicy. Radiotelegrafisci zorganizowali ekipę z Miłoszem na czele.

— Panie sterzanie, jak pan będzie szedł, niech pan mnie weźmie ze sobą — błagała tęga łączniczka pułkownika „Orta”. — Mój szef o nic nie umie się postarać, zdechniemy z głodu.

Wyprawa zakończyła się sukcesem. Potem Miłosz skombinował młynek, skreślił w nim ziarno i wypiekał pszenny chleb. Najwspanialszy chleb, jaki kiedykolwiek jedli w życiu.

Z rosyjskich telegrafistów jednego zabiło, drugi został ranny. „Ort” wydał rozkaz udzielenia ich ekipie technicznej pomocy. Porucznik oddelegował w tym celu „Leszka Białego”.

Już wiedzieli, że desant jednostek polskich na przyczółku czerniakowskim — trafiwszy w próżnię na skutek wycofania jednostek powstańczych od Wisły i przeniesienia punktu ciężkości walk do Śródmieścia — zakończył się niepowodzeniem, przy krwawych stratach. Teraz ostatecznie zdał sobie sprawę z nieuchronności klęski i kapitulacji. Mokotów dogorywał. Wrócił stamtąd 27 września „Śmiały” ledwie żywy, roztrzęsiony. „Pistolet” — tak go niektórzy ochrzczili dla jego zapaleczywości — był załamany. Opowiadał takie rzeczy, że nawet im, którzy przeżyli piekło, jeżył się włos. Z Mokotowa powstańcy wycofywali się kanałami bez przewodnika. Zabłądzili, chodzili w kółło, dostawali szału. Mielili wrażenie, jakby za życia znaleźli się w grobie. Nawet kichnąć nie było wolno. Wróg działał z premedytacją. Ustawiał w środku barykady i spietrzał wodą. Masę ludzi utonęło. „Teofil” siedział z łączniczką. Dziewczyna traciła siły, więc nieśł ja tak długo, aż padli. Zginęli oboje. Mówił to podporucznik „Śmiały”-Trzaskowski, który dobiegł do zbawczego wjazdu niemal kompletnie wykończony. Nic dziwnego — szli kanałem, do którego hitlerowcy wrzucali karbid i łzawiące granaty.

Długo nie mogli się uspokoić na wiadomość o śmierci, jaką zginął „Teofil”, radiowiec o gorącym polskim sercu i wyjątkowej odwadze. Na domiar zmartwień „Franek” już nie zgłaszał się, nie odpowiadał. Wolna od razu pomyślał, że ze zgrupowaniem kampinoskim coś się musiało wydarzyć.

Sami byli teraz święcie przekonani, że hitlerowcy wytłuką ich do ostatniego.

— Żeby tylko nie torturowali — westchnął Miłosz.

Wygasły ostatnie refleksy tej dziwnej walki, w której radiostacje poszczególnych ośrodków powstańczych zmuszone były, dla utrzymania łączności między sobą, angażować bazy w Stanmore i Bari. Zdecydowały o tym względy bezpieczeństwa. Niemcy wykryli wiele samodzielnie korespondujących ze sobą punktów gry, co pociągało za sobą ogień artylerii i bombardowanie, a nawet wprost zagarnięcie niejednej załogi.

Korespondencja via Londyn nie była fantazją, ale skutkiem systemu łączności. Krótkofalówki nadawczo-odbiorcze były za słabe do bezpośredniej współpracy między sobą, mogły za to wymieniać wiadomości ze stacjami większych mocy. Setki meldunków przesłano ze wszystkich dzielnic stolicy do Londynu, skąd były retransmitowane i odbierane przez adresatów, przez aparaty powstańcze. Tą drogą uratowano nie jeden oddział, który utknął w kanale, nie mogąc trafić na właściwy wjazd.

— Teraz, kiedy nareszcie zorganizowaliśmy, jak się należy, siatkę radiostacji, czas kończyć powstanie — powiedział ni to z żalem, ni z wściekłym humorem Uszycki. Była to prawda. Dopiero pod koniec powstania, pod gruzami kamienic, nadajniki grały planowo, na jednolitej sieci,

co prawda już tylko w Śródmieściu, na Żoliborzu i — krótko — na Mokotowie. Była to zapewne jedyna służba wojsk powstańczych, która w miarę zbliżającej się klęski miała coraz to lepszą organizację i sprawniej działała. Przedtem krzyżowały się w eterze depesze pięćdziesięciu radiostacji, należących do kierownictwa obszaru warszawskiego, okręgu stołecznego, B i P-u, Komendy Głównej AK, Armii Ludowej i jeszcze Stronnictwa Ludowego. Każda z tych organizacji — z wyjątkiem AL — prowadziła korespondencję z Londynem na własną rękę, dezinformując sztaby alianckie. Trzeba było, żeby wróg zajął Wolę, Ochotę, Stare Miasto i Powiśle, aby dopiero wtedy doszło do koordynacji „gry”. Ale wtedy było już za późno.

Początkowo szeptem, potem coraz głośniejszym mówiono o tym, że dowództwo zamierza kapitulować.

Kiedy zaś pertraktacje z Niemcami weszły już we wstępną fazę, jednym z warunków sztabu von dem Bacha-Zalewskiego było przekazanie do niewoli radiotelegrafistów.

— Niestety, ktoś z was musi pójść do niewoli — oświadczył zmartwiony „Ort”. — Ja także idę. Oni doskonale znają każdy nasz punkt gry.

— Melduję swoją gotowość — trzasnął obcasami Kowalski. — No, krwiopijcy, bierzcie się za mnie — zwrócił się z udaną emfazą w stronę nieprzyjacielskich pozycji. „Leszek Biały” natychmiast poszedł w jego ślady.

— Wystarczy — Uszycki ze smętnym uśmie-

chem uniósł rękę w górę. — Tylko uważajcie, oni będą chcieli was wymacać, żeby wytropić i zwinąć całą siatkę radiową w Generalnej Guberni.

— Już my ich wykiwamy — uśmiechnął się „Malec”.

Miłosz zerknął znacząco na Welnę, ten skinął potakująco głową.

— Prosimy na pożegnalną libację, panie pułkowniku — „Biały” wyprężył się jak struna.

— Grę wojenną wypada zakończyć toastem.

„Ortowi” mało oczy na wierzch nie wyszły, kiedy radiotelegrafiści rozłoczyli przed nim, na stole, powaby befsztyka z końskiego mięsa i pszennego placka.

— Jeszcze nie wszystko wam powiedziałem — odezwał się między jednym kesem a drugim pułkownik. — Rozkazem naczelnego wodza każdy z was otrzymał Virtuti Militari. A wasz dowódca „Franek” został awansowany do stopnia majora.

Spełnili toast. Przepijali, wznosząc dalsze: za bliski koniec wojny, za wolną i niepodległą ojczyznę. „Leszek” wznosił kieliszek za Warszawę, ale nie dokończył, lzy zdławiły mu głos, Warszawy nie było.

Zjawili się „Narcyz” i „Gryf”, więc napelniono kieliszki powtórnie.

— Głowa do góry, panowie — podniósł głos „Malec”. — Przegraliśmy Warszawę, ale wygraliśmy Polskę.

— Grunt, że Hitler kaput — dokończył Kowalski. — Nie roztkliwiajmy się. Jesteśmy radiotelegrafiści z „Orbisu”, a nie liryczne ślamazary.

— Do niewoli weźmiecie ze sobą jedną radiostację — zwięksował rozmowę pułkownik.

— Tylko nie moją „Nelkę” z Brwinowa, proszę pana, nie tę ze studni — zastrzegł się żywo porucznik. Resztę sprzętu postanowili zakopać, że niby rozbiti, przywalony pod gruzami.

Pili, żeby zagłuszyć ból. Uszycki nie wytrzymał i zapytał, gdzie zdobyli wódkę i wino.

— W piwnicy pana generała Bortnowskiego, w jego mieszkaniu, od Marszałkowskiej — oznajmił najspokojniej w świecie Miłosz.

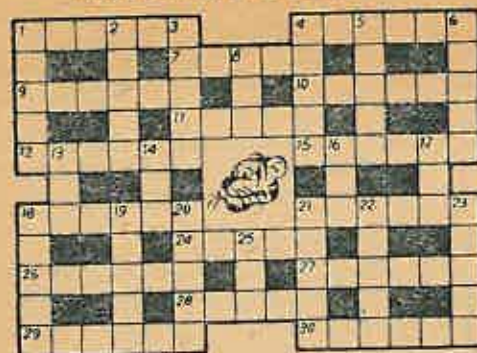
„Żbik” był nie w sosie. Przez cały czas rozmyślał, co też za treść zawierała ostatnia depesza, jaką przekazał 30 września do centrali Stanmore „U3k”. Ostatnia.

A było w niej, co następuje: Warszawa już nie ma żadnych szans obrony. Zdecydowałem rozpocząć rokowania — poddanie na pełnych prawach kombatanckich, które Niemcy uznają całkowicie.

Autor nie uważał już nawet za stosowne podpisać szyfrogramu pseudonimem: „Lawina”.

Alam w kompanii „Orbis” był odwołany.

KRZYŻOWKA Z TYGRYSEM



POZIOMO: 1) pseudonim komendanta Stefana Roweckiego, 4) radiotelegrafista o pseudonimie „Biały”, 7) litera alfabety greckiego, 9) długa wypowiedź utrzymana w podniosłym stylu, 10) odmiana kwarcu, 11) sierżant z wojsk łączności, radiotelegrafista pierwszego plutonu alarmowego kompanii „Orbis”, 12) rodzaj ciasta zwiniętego w rulon, 15) w dawnej Polsce podatek przeznaczony na utrzymanie szlacheckiego wojska, 18) stopień podoficerski, 21) egzamin dojrzałości, 24) główne bóstwo indyjskie, bóg nieba i burzy walczący ze złymi demonami, czczony przede wszystkim przez wojowników, 26) major niemiecki, szef warszawskiej Abwehrrstelle, 27) pseudonim ogrodnika Wojciechowskiego, na którego posesji znajdował się punkt nadawczy, 30) gatunek nietoperza, 29) zasłona, 30) stop miedzi, cynku i niklu.

PIONOWO: 1) lekki, niewielki, lecz szybki okręt wojenny przeznaczony do niszczenia torpedami lub rakietami okrętów i statków nieprzyjaciela, 2) miasto powiatowe w woj. olsztyńskim, 3) roślina o mielistkach liściach, 4) żołnierz regulujący ruch, 5) metalowy pojemnik wypełniony materiałem wybuchowym, 6) giza, 6) strza nawlanego śniegu, 8) zwierzę pochodzące ze skrzyżowania osła z koniem, 12) rzeka radziecka zwaną z powstaniem ludowego Wojska Polskiego, 14) leśnik, 16) rzeka, Czarna Woda, 17) wymarły ssak odznaczający się dużymi rokami i potężnymi rogami, 18) w dawnych prawach polskim prawo do spadku pozostawionego bez testamentu i bez spadkobierców, 19) ojczyzna Sellykowsko-Szczedrina, 20) egzotyczna roślina o długich, czopnych pedach, 21) ranie osmotnicy, 22) włośnica, obciążająca, 23) rzeka we Włoszech, wpada do Adriatyku, 25) autor książki pt. „Narwik i Falaes”.